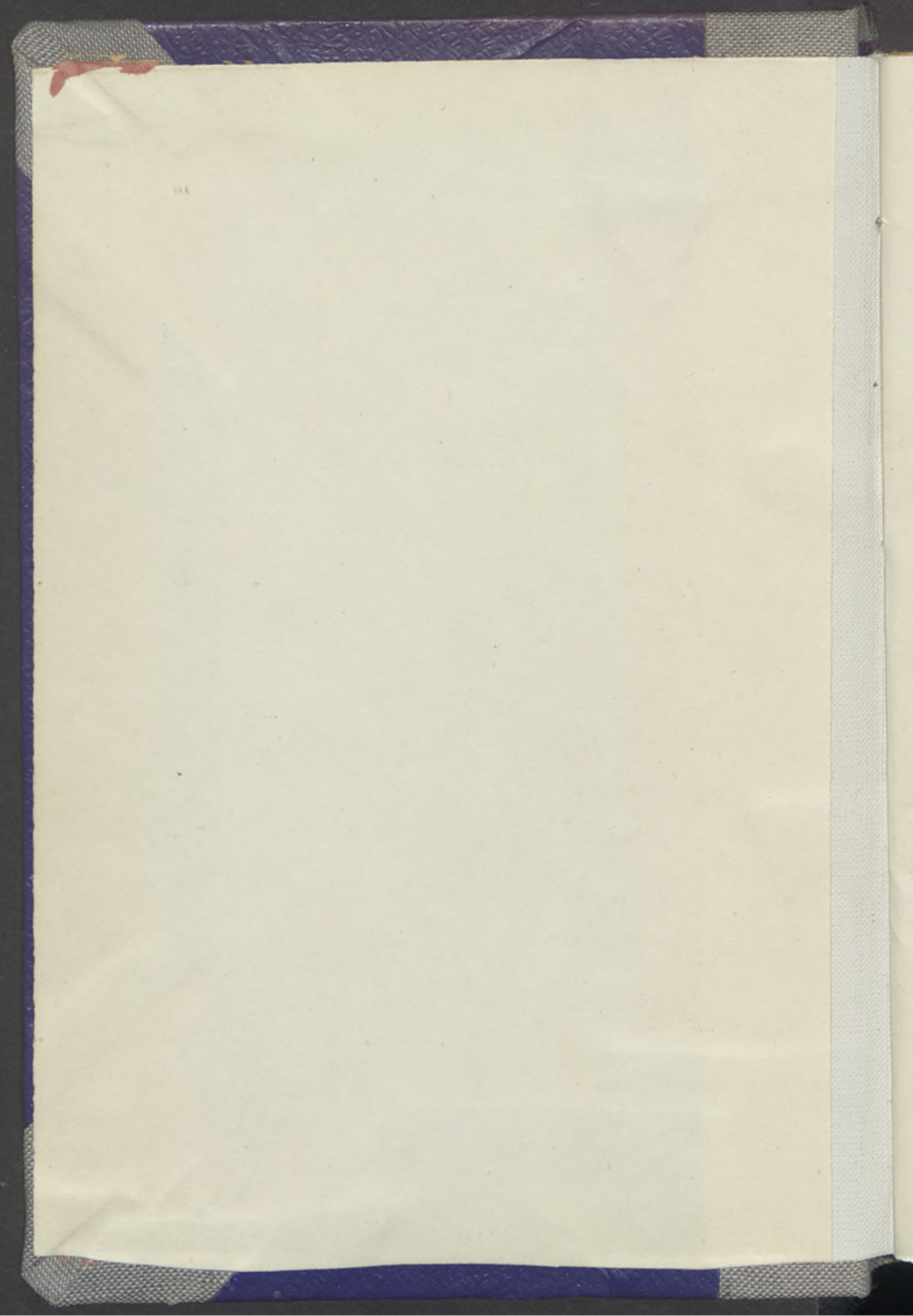
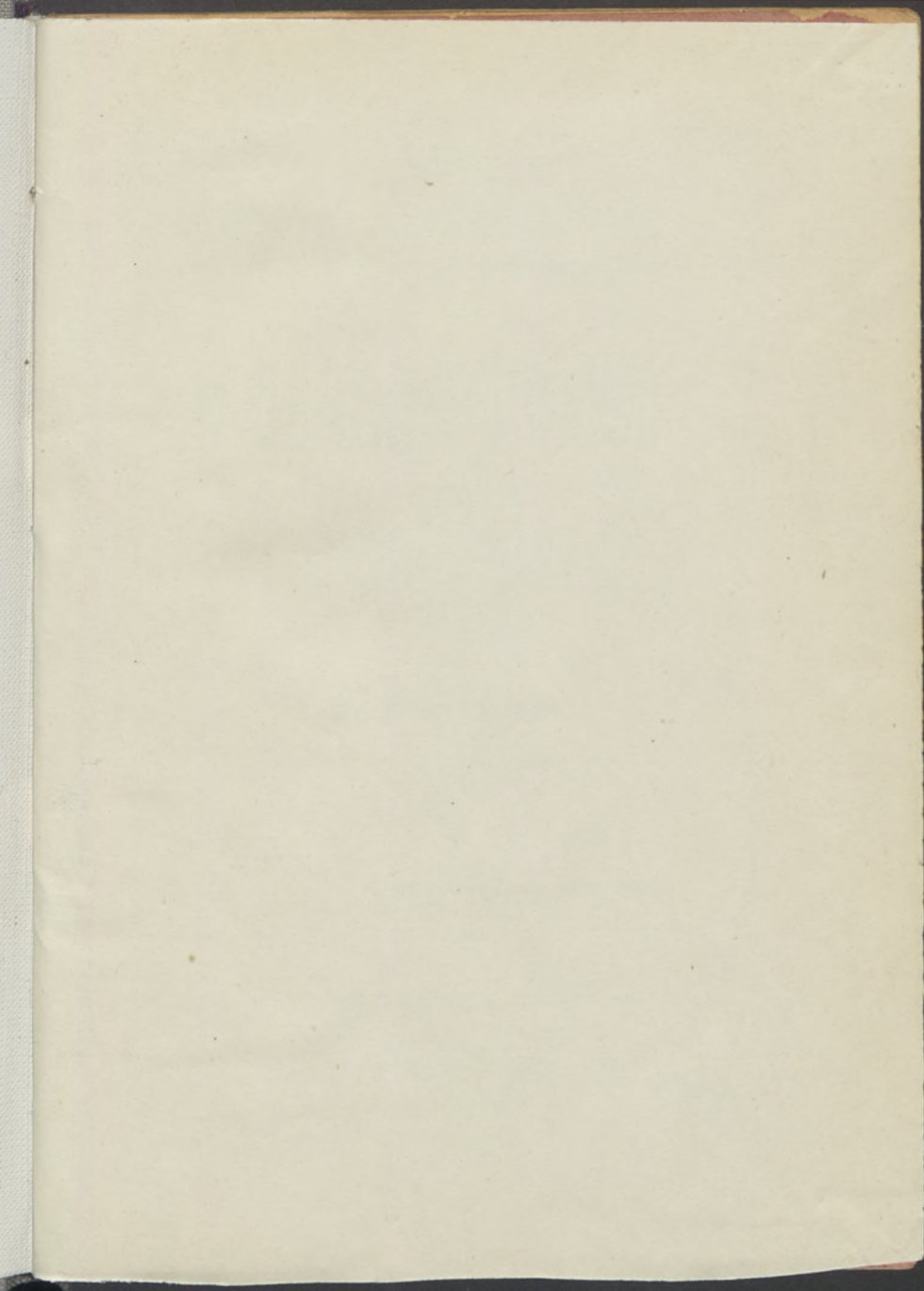
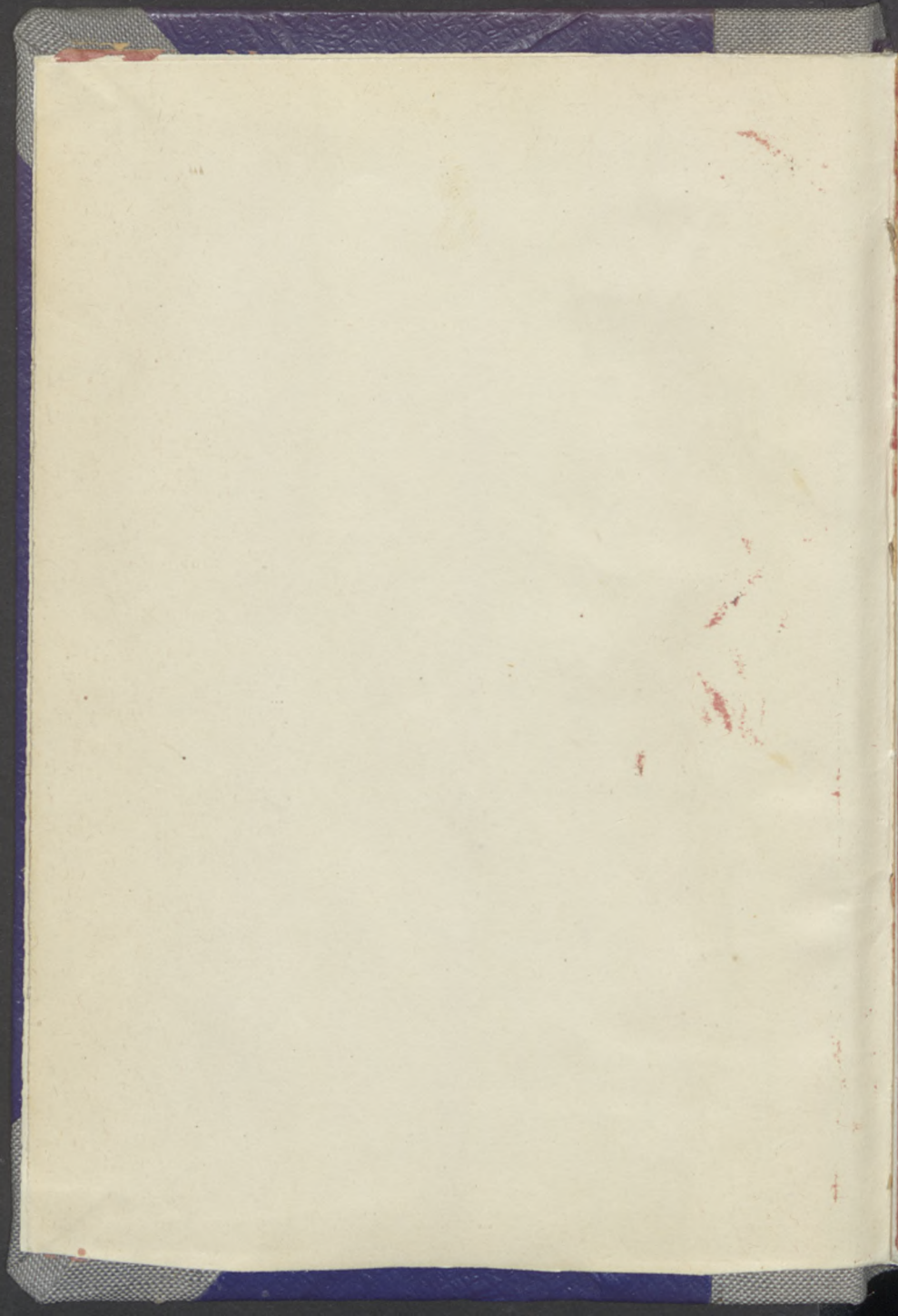


1609000







8463
4 my
BIBLIOTEKA SOCJALDEMOKRATYCZNA.

XIII.

W OBRONIE PRAWDY

M O W A

wygłoszona na uroczystości otwarcia związku
ludowego w Crimitschau d. 22 października
1871 roku.

przez

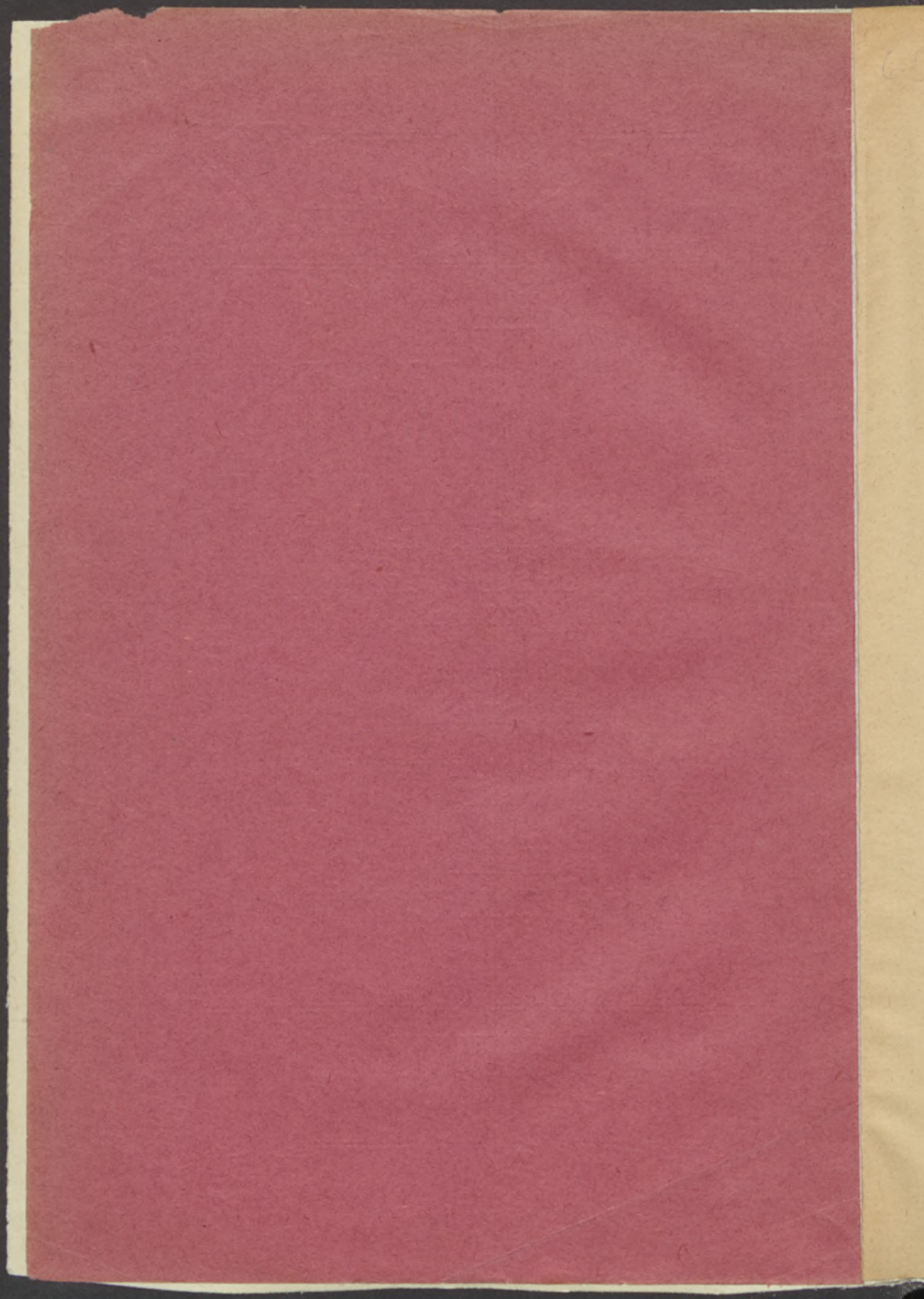
W. Liebknechta

(podług notatek stenograficznych).

Tłumaczenie z szóstego wydania niemieckiego.

WYDAWNICTWO

Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy.
Warszawa, 1906.



60662 281334
BIBLIOTEKA SOCJALDEMOKRATYCZNA.

XIII.

W obronie prawdy

M O W A

wyłoszona na uroczystości otwarcia związku
ludowego w Crimitschau d. 22 października
1871 roku.

PRZEZ

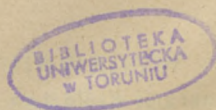
Wilhelm
W. LIEBKNECHTA

(podług notatek stenograficznych).

—*—
Tłumaczenie z szóstego wydania niemieckiego.

8469
WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI
Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy.

—
Warszawa, 1906.



656681

D. 125/92

PRZEDMOWA.

Broszurkę, którą mam przed sobą w piątym wydaniu z roku 1883—inne nie mam pod ręką—pozostawiam *zupełnie niezmienną*. Dziecko chwili, musi ono pozostać takim, jakim je chwila stworzyła.

Dlaczego nazywam to „mową uroczystą,” to już w krótkości opowiedziałem na innym miejscu. Lipski proces o zdradę stanu był tego przyczyną — on zrobił mnie mówcą uroczystości wbrew mojej woli.

Przedruk jest o tyle na czasie, o ile zarówno wówczas, jak i teraz zależało na tym, ażeby cele i światopogląd naszej partji wypowiedzieć w powszechnie zrozumiałej formie, i aby odeprzeć oskarżenia naszych nieprzyjaciół, które już wówczas były równie ograniczone, ciemne i złośliwe, jak i dzisiaj — pod tym względem niczego się oni nie nauczyli—i ażeby wykazać, że to wszystko, co zarzucają nam przedstawiciele dzisiejszego „porządku”, jest odzwierciedleniem ich własnych grzechów i wytworem ich własnej fantazji.

Czytelnik zobaczy, że wówczas—a powtarzam, że w broszurze tej nie zmienia się, nie dodaje ani odejmuje ani jednego słowa — przed 19 laty takie same mieliśmy, jak dziś, pojęcia o rozwoju organicznym, o wcielaniu się jednej formy społecznej w drugą, o niemożliwości gwałtownego wdzierania się w prawa roz-

woju—słowem, mieliśmy wówczas takie same o tym poglądy, jak później na kongresie w Hall, co w dziecinym pojmowaniu naszych przeciwników miało być niby skutkiem wychowawczego działania prawa przeciw socjalistom.

Nawiązując do polemiki, prowadzonej przed laty z jednym z pism, chcę tylko zaznaczyć, iż odwrotne użycie wyrazów *pracodawca* i *pracobiorca* w przeciwieństwie do ich rzeczywistego i dosłownego znaczenia stwierdziłem w mojej uroczystej mowie i napiętnowałem, jako szalbierstwo.

To, że wiele rzeczy, omawianych w tej broszurze, wypowiedziano od tego czasu ostrzej, nie może jej służyć, jako zarzut. Idziemy naprzód i dzisiejszy dzień nie wystarczy nigdy „jutrzejszemu.”

Berlin 24 grudnia 1890.

W. Liebknecht.

Przyjaciele! Praojciec niemieckiej demokracji Jan Jacoby powiedział w słynnej swej mowie— „O celach ruchu robotniczego”: „Utworzenie najmniejszego związku robotniczego będzie dla przyszłego historyka kultury większą miało doniosłość, aniżeli dzień bitwy pod Sadową.” Gdyby mówił to rok później, mógłby jeszcze dodać: „i niż wszystkie najsławniejsze zwycięstwa” i „piękne utarczki kawaleryjskie świętej wojny panów Bismarka i Bonapartego.”

Wprawdzie związek, którego założenie dziś obchodzimy, nie nazywa się związkiem robotniczym, ale związek ludowy miasta Crimitschau składa się z samych prawie robotników i wyznaje zasady Socjaldemokracji, jest on więc związkiem robotniczym i słowa Jacoby'ego znajdują tu zastosowanie.

Tak, utworzenie najmniejszego związku robotniczego jest ważniejszym czynem kulturalnym, aniżeli wszystkie „wielkie czyny”, których dokonała i dokona jeszcze Europa militarna i monarchiczna na tak zwanym polu chwały; w najmniejszym związku robotniczym żyją i hodoją się idee teraźniejszości, przygotowuje się rozwiązanie najdonioślejszych zagadnień, wstrząsających naszą epoką, podczas kiedy ręka żołnierza kieruje tylko bronią morderczą, ażeby bronić i utrzymywać przeżytki przeszłości. Każdy związek robotniczy jest wykwitem nowoczesnej cywilizacji, zasa-

dzonym w winnicy ludzkości, którą „wspaniałe armje“ tylko pustoszą; jest on szkołą prawdziwego, wyzwającego ludzkość wykształcenia, któremu groźbą i zniewagą są zwycięstwa zbrojne; jest on częścią nowego świata, która, jak klin, wciska się w świat stary, aby się przyczynić do rozsadzenia go.

Dwa światy stoją teraz wrogo naprzeciw siebie— świat posiadających i świat wydziedziczonych, świat kapitału i świat pracy, świat uciskających i świat uciskanych, świat burżuazji i świat socjalizmu—dwa światy, mające odrębne cele, dążenia, poglądy i odrębny język, dwa światy, które nie mogą egzystować obok siebie i z których jeden drugiemu ustąpić musi

W ostatniej wojnie, przy świetle rakiet płonących wsi i miast, odcinały się od siebie wyraźnie i ostro zarysy dwóch światów nawet dla najbardziej słabego wzroku. Tu przedstawiciele starego świata, głoszący nienawiść i pogardę do sąsiedniego narodu; wskazujący mord masowy, jako najwyższy cel ludzkości; podniecający wszelkimi środkami namiętności ludzkie; przyduszający myśli i składający na ołtarzu ciasnego fanatycznego patryjotyzmu uczucia ludzkie — *tam*, stoją z drugiej strony przedstawiciele nowego świata, spokojni wobec huczącego potoku; trzeźwi pośród orgji narodowego delirium; niezachwiani przez wyrzuty, oskarżenia, napaście, prześladowania; dumni, stawiając czoło przeciwnikom i wołając: to, co wy wskazujecie, jako najwyższe obowiązki, nam wydaje się niemoralnym, to, co wyśławiacie, jako dobro najwyższe, dla nas sprzeciwia się wymaganiom rozsądku i sprawiedliwości. Człowiek, który zamieszkuje po za naszymi słupami granicznymi, jest dla nas takim, jak my człowiekiem; narody są braćmi i powinni kochać się między sobą, zamiast dławić się nawzajem. Morderstwo pozostaje morderstwem, chociażby morderca i ofiara mówili różnymi językami i choć nosząc pstre ubiory, zamiast jednobarwnych; morder-

stwo jest zbrodnią i zbrodnia nie przestaje nią być, chociaż jest spełnioną na wielką skalę. Powodzenie nigdy nie zmienia bezprawia w prawo. To, co nazywacie sławą, jest dla nas przeciwieństwem sławy; to, co wy nazywacie honorem, my uważamy za przeciwieństwo honoru. Te tryumfy, któremi wy się chwalicie, są dla nas tryumfami barbarzyństwa; wojna, chociażby była najbardziej zwycięską, jest grzechem przeciwko świętemu duchowi ludzkości — nieszczęściem zarówno dla zwycięsców, jak dla zwyciężonych. Słowo „ojczyzna“, które macie na ustach, nie ma dla nas uroku; wasze pojęcie ojczyzny jest dla nas już dawno przebrzmiałym, reakcyjnym, wrogim kulturze pojęciem; ludzkość nie daje się zamykać w ciasnych granicach narodowości; naszą ojczyzną jest świat; *ubi bene, ibi patria* — gdzie nam jest dobrze, zatym tam, gdzie możemy być *ludźmi*, tam jest *nasza ojczyzna*. Wasza ojczyzna jest dla nas tylko padołem płaczu, więziennym polem, na którym jesteście ściganą zwierzyną i nie jeden z nas nie ma miejsca, na którymby mógł złożyć swoją głowę. Wy wymyślacie nam, nazywając nas „pozbawionemi ojczyzny“, a wy sami pozbawiliście nas ojczyzny. Jak możecie wy, którzy z namaszczeniem zapewnianie o swoim chrześcijaństwie, robić nam zarzut, że nie jesteśmy „narodowi“? Nie jest że to doskonałą cechą chrześcijaństwa, że narodowego boga Hebrajczyków zrobił bogiem wszechludzkim, a zatym, wyrażając się nowocześnie, zniweczył zasady nacjonalizmu i zastąpił ideę *narodową* — ideą *międzynarodową*? Przez was przemawia tylko przesąd lub egoizm; interes ludzkości zwycięży wasze osobiste interesy. Wasze tryumfy przyspieszają tylko wasz upadek. W dźwięku dzwonów, bijących na święto waszego zwycięstwa, słysząc już pogrzebową pieśń waszej świetności“.

Z przykrym zdumieniem zobaczyli przeciwnicy nieoczekiwane widowiska, słuchali obco brzmiącej mo-

wy nowego świata. Była to wprawdzie drobna garstka, która podnosiła protest w imię ludzkości; ale każda walcząca o panowanie prawda jest w mniejszości, a każda zwycięska prawda posiada większość. Wprawdzie mniejszość owa składała się prawie wyłącznie z robotników, z wydziedziczonych dzisiejszego społeczeństwa—ale jakżeby inaczej można sobie to wyobrazić?

Uciśnieni to, po przez wszystkie czasy strzegli płomienia wolności i ludzkości; nędza jest najlepszą, nawet jedyną mistrzynią człowieczeństwa. Słabych uczy ona modlitwy, a silnym użycia swych sił — uczy *myśleć i działać* dla swego wyzwolenia. Dzisiaj robotnicy właśnie, przyciśnięci nędzą, poświęcili się dziełu wyzwolenia—tak w wiekach średnich chłopci głosili ewangelję wolności i równości; tak na początku naszej ery między ubogimi i cierpiącymi powstał chrześcijaństwo.

Nie pierwszy to raz stoją tak naprzeciw siebie dwa światy. W XVIII-ym stuleciu, kiedy jeszcze burząca była politycznie uciśniona, wytworzyła sobie już odrębny świat myśli i poglądów, który z panującym światem był w ostrej sprzeczności i nareszcie duchowo nad nim zapanowała—było to „*moralne zwycięstwo*”, po którym władz musiało nastąpić zwycięstwo materialne postaci Rewolucji francuskiej.

Historja jednak daje nam jeszcze bardziej uderzający przykład: starożytny Rzym osiągnął szczytu swej potęgi; nic już więcej nie miał do zdobycia, ponieważ wszystkie kraje świata składały mu już daninę. Wielcy opływają w niesłychany zbytek, masy jęczą w jarzmie niewoli. Wówczas w ujarzmionych i zdeptanych masach budzi się bunt przeciw tym haniebnym warunkom, powstaje ruch, który jest zrazu lekceważony i wyśmiewany przez władców i magnatów, jednak powoli zaczyna ich zatrważać i skłania do zażartych i okrutnych prześladowań wyznawców nowej wiary. Ale prześladowania stwarzają tylko *męczenników* i umacniają

sprawę, którą zniszczyć miały. Zabraniają strasznym „wrogom państwa i społeczeństwa” (bo takimi byli chrześcijanie) zbierać się, — zbierają się w katakumbach; wymyślają najbardziej wyrafinowane męki, otaczają śmierć tysiącami okropnościami — nadaremnie, śmierć straciła swą grozę dla prześladowanych, i podczas najwyszukańszych męczarni mają oni tylko uśmiech politowania dla głupców, którzy wyobrażają sobie, że można zabić ideę. „Jeżeli sprawa nasza jest boską, to nie możecie jej zniszczyć, a jeżeli nie, to sama przepadnie bez was!” Tak wołają oni katom swoim i śpieszą radośni i pewni zwycięstwa na plac stracenia. „Jeżeli sprawa nasza jest boską” — to znaczy w przekładzie na język nowoczesny: jeżeli to, do czego dążymy, jest wymaganiem kultury, jeżeli jest w zgodzie z duchowemi, moralnemi i materjalnemi interesami ludzkości, to żadna siła nie jest zdolną tego zniszczyć; jeżeli jednak sprawa ta nie jest „boską”, to znaczy, jeżeli jest w sprzeczności z temi interesami, to wskutek tej właśnie sprzeczności zginąć musi — bez potrzeby użycia gwałtownych środków, które conajwyżej już umarłemu pozory życia nadadzą.

A więc klatki lwów, jaskinie węzów, krzyż, stosy — gdzież ich skutki? Rewolucja ludzkiego ducha postępowała niczym niewstrzymana naprzód, chrześcijanizm zwyciężył wszechmocne pogaństwo, nowy świat zwałił w gruzy stary.

To jedna uwaga. Dalekim jestem od wiary w zwykłe tradycje t. zw. prachrześcijaństwa, a jeszcze dalszym jestem od tego, aby uważać dzisiejszą cywilizację za następstwo chrześcijaństwa. To ostatnie pojmowanie jest stanowczo nieprawdziwym, jest nawet absolutnym odwróceniem prawdy; z łatwością da się udowodnić, że z chwilą, kiedy chrześcijanizm stał się religią państwową, tylko w walce z nim i tylko *wbrew* jemu dało się zdobywać każde materjalne i duchowe zwycięstwo ludzkości. Inaczej rzecz się ma z tą epoką,

kiedy chrześcijaństwo nosiło jeszcze cierniową koronę prześladowań. Wprawdzie legendy, podania starszej i nowszej daty, których tyle słyszeliśmy, należą do krainy baśni. Nie można zaprzeczyć jednak, że nauka i sztuka obcemi były wyznawcom nowej wiary, a nawet już, jako na pozór nieodłącznie należące do pogaństwa, z całych sił były zwalczane. Jednak byłoby to równie głupim, jak to, co teraz nam zarzucają, gdybyśmy chcieli zaprzeczać, że ruch chrześcijański rozwinął się, jako konieczność z owoczesnych stosunków. Potrzeba było owego protestu moralności i drżającego w każdym człowieku poczucia równości, aby do głębi zgniłe, na niewolnictwie oparte pogańskie społeczeństwo uległo rozkładowi i tym samym utorowało drogę ludzkości do dalszego postępu. Po upadku klasycznego pogaństwa nastąpiła długa, posepna noc. Gdy chrześcijaństwo został religią państwową, oddalił się on od zasad, którym zawdzięczał zwycięstwo i sam stał się narzędziem ucisku. Jednak ludzkość nie pozwoliła wstrzymać się w swoim pochodzie. Idee równości, braterstwa, wolności nurtowały ciągle pod powierzchnią społeczeństwa. Nadaremnie usiłował kościół państwowy nałożyć na ducha więzy, napróżno urządził inkwizycję. Mogła ona palić ciała, ale wieczne myśli z nieuszkodzonymi skrzydłami wzносиły się, jak feniks z popiołów. Setki tysięcy kacerzy padło ofiarą, stróże „nieomyślności“ święcili świetne „tryumfy“ — na chwilę. *Ostatecznym* wynikiem tego było, że kacerze zwyciężyli swoich sędziów. Reformacja złamała potęgę papieża i dziś nieomylny papież zdany jest na łaskę i niełaskę swoich nieprzyjaciół, jest przedmiotem litości, a nie trwogi.

Zaprawdę, kto wogóle jest zdolnym uczyć się, ten z historii prześladowań religijnych nauczyć się może, że szaleństwem jest chcieć cofać koło postępu ludzkości. Tak jak sędziowie kacerzy w wiekach średnich

potępieni są przed sądem ludzkości, tak nowocześni sędziowie kacerzy, którzy ośmielają się nową naukę socjalizmu dławić policyjnymi prześladowaniami, będą potępieni przed sądem ludzkości, i jak kacerze średniowieczni zwyciężyli w końcu swoich sędziów, tak samo kacerze nowocześni zwyciężą nowocześnie swoich sędziów. Czyżby może kto przypuszczał, że idee nasze mniej mają w sobie żywotności, niż idee męczenników chrześcijańskich? Próżne urojenia!

Podobną rolę, jaką przy upadku starożytnego świata odegrało chrześcijaństwo, dziś względem świata burżuazyjnego socjalizmowi odegrać przypadło w udziale. I dzisiaj mamy bunt ducha przeciw brutalnemu materjalizmowi*), który, wyrzuty z wszelkiego poczucia ideału, człowieka zniża do bydłęcia lub towaru, i dzisiaj nowy świat powstaje z łona ubogich i wydziedziczonych; i dzisiaj mamy zerwanie z narodowościowymi przesadami. Ale mamy tu istotną różnicę: socjalizm nie ma nauki przeciw sobie, lecz ma w niej niewzruszoną podstawę, jakkolwiek kapłani nauki są po większej części w służbie Mamona; socjalizm nie jest wyłącznie rzeczą uczucia, ale także rozumu; opiera się on na jasnym poznaniu panujących stosunków społecznych i ma określony, możliwy do przeprowadzenia program zreorganizowania społeczeństwa i państwa lub też, powiedzmy, tylko społeczeństwa; gdyż państwo jest tylko gorzej lub lepiej zorganizowanym społeczeństwem. Socjalizm, jako rzecz uczucia i sumienia, posiada całą siłę chrześcijanizmu — proszę zauważyć, że mówię tu tylko o ruchu chrześcijańskim w pierwszym stadium—jako rzecz rozumu, ma on siłę wiedzy. Jeżeli jednak samo już uczucie uczyniło pierwszych chrześcijan niezwalczonemi, jakże beznadziejną jest walka przeciw socjalizmowi,

*) Należy go odróżniać od materjalizmu naukowego, którego wrogiem naturalnie nie jestem.

kóremu uczucie daje siłę religji, a rozum—siłę nauki? Gdyby słowo „religja“ nie było źle zrozumianym, to powiedziałbym: „*Socjalizm jest zarazem nauką i religją.*“ Tkwiąc w sercach i głowach robotników, socjalizm nie da się wytępić ani przez gwałt, ani przez postęp, ani przez sofistyczne powierzchowne argumenty, ani przez policję lub strzały. W każdym robotniku tkwi świadomie lub nieświadomie mniej lub więcej rozwinięty zarodek socjalizmu i ten zarodek nowego świata nie daje się zdławić. Nie pomoże tu zaprzeczenie ani zamykanie oczu, ani denuncjacja, ani żadne napady, ani masakrowanie. Ruch dokonywa się z koniecznością prawa natury i prześladowania wzmacniają socjalizm, tak jak wzmocniły chrześcijaństwo. Robotnicy mogą umrzeć za swoje przekonania, tak jak to robili chrześcijanie. Socjalizm ma swoich męczenników, tak jak miało ich chrześcijaństwo dotąd, i choćby dziesiątki i setki tysięcy zostało zabitych, nieodwróci to ostatecznego zwycięstwa socjalizmu, jak nie wstrzymało niegdyś chrześcijaństwa. Z krwi każdego męczennika powstają setki nowych męczenników; zwiększające się niebezpieczeństwo hartuje odwagę, i że użyję przysłowia z czasów rewolucji francuskiej: kto wszedł w układy ze śmiercią, ma zwycięstwo zapewnione. „Ogniem i mieczem“ tylko tchórzom można strachu napędzać, my drwimy z pogróżek i niebezpieczeństw.

Spójrzmy na Francję, na tę wielką widownię politycznych i społecznych doświadczeń, gdzie niedawno odegrała się straszliwa, potężna *tragedja Komuny*. Socjalistyczny proletarjat, wyniesiony przez wzburzone fale wypadków w Paryżu na szczyt władzy politycznej, uległ po bohaterskiej, olbrzymiej walce, połączonym wysiłkom pruskiej i francuskiej armji; czterdzieści tysięcy robotników wymordowano w walce i po walce; tyluż schwytano, ażeby w niezdrowych więzieniach, zięjących zarazą kajutach okrętowych. w palących pia-

skach pustyni i w zatrutych bagnach Nowej Kaledonii zgładzić za pomocą „suchej gilotyny.” Jakaż radość między przedstawicielami starego świata! Kwestja socjalna została wykreśloną, a socjalizm w osobach 80,000 socjalistów zabity, albo na śmierć skazany!

Socjalizm zabity? Panowie macie krótką pamięć. Dwadzieścia trzy lata przed tą katastrofą był Paryż widownią podobnej tragedji, niemniej podniosłej, choć nie tak wielkich rozmiarów. Francuska *rewolucja lutowa* jest wam chyba znana, choćby w zarysach. Proletariat paryski obalił tron lipcowy. Wziął on na serjo wszystkie frazesy oburzenia, które liberalne mieszczaństwo miotало na zepsucie mieszczańskiego królestwa i chciał zło wykorzenić. Ale rewolucja nie była dlań tylko czczym frazesem, nie po to chciał on unicestwić wyzysk i zepsucie w jednej postaci, ażeby wznieść je znowu w postaci odmiennej.

Rząd tymczasowy został utworzony. W większości składał się „z uczciwych” republikanów z kilkoma przedstawicielami socjalizmu na dodatek. Robotnicy bardziej łatwowierni i wspaniałomyślni, aniżeli rozumni, oświadczyli rządowi: „Wiemy, że większość z Was nie sprzyja naszym dążeniom, ale chcemy, o ile się da, uniknąć dalszego krwi rozlewu — *dajemy wam trzy miesiące nędzy*; trzy miesiące będziemy cierpliwie znosić wszelki niedostatek; te trzy miesiące są dla was czasem próby. Jeżeli zobaczymy po upływie tego czasu, że jesteście uczciwi, że macie dobre chęci uczynienia czegoś dla zgłodniałego proletariatu, dobrze, wówczas kwestja socjalna rozwiązana będzie pokojowo. Jeżeli jednak zobaczymy, że nas oszukano, wówczas będziemy musieli sami sobie poradzić. Rząd przyrzekł wszystko — i niczego nie dotrzymał. Warsztaty narodowe, które nasza bezmyślna prasa burżuazyjna nazwała dziełami socjalizmu, zostały urządzone, ażeby utworzyć armję robotniczą *przeciwną socjalizmowi*, — próba, która

się nie udała dzięki silnej świadomości klasowej francuskiego robotnika. Ponieważ nie można było proletariatu wodzić za nos, należało go zmiażdżyć kartażami. Potrzebne ku temu rozkazy wydano i, kiedy burżuazja (reprezentowana w rządzie tymczasowym i w podówczas zebranim Zgromadzeniu Narodowym) pewną była pomyślnego skutku, wyrzuciła z warsztatów narodowych na bruk 30,000 robotników i zmusiła ich do śmierci głodowej lub walki. Termin trzymiesięcznego „wekslu głodowego”, wystawiony dn. 18 marca upływał właśnie. Dnie 21 i 22 czerwca szykował się proletariąt do boju. Następnego dnia wybuchła walka. Nie jest tu moim zadaniem rozwijać szczegóły *powstania czerwcowego*. Dość że po czterodniowym bohaterskim boju, 40 tysięcy robotników uległo armii, złożonej z 80 tysięcy regularnego wojska i 40,000 gwardji mobilów i narodowej. Zwycięscy dopuszczali się strasznych okrucieństw — tysiące więźniów wymordowano; liczbę robotników, którzy bądź padli w boju, bądź później byli zmasakrowani, oceniają na dwanaście tysięcy; prawie tyleż było uwięzionych, których obawiano się natychmiast stracić, wysłano do Lambessy i Kajenny, gdzie większość padła ofiarą klimatu i złego obchodzenia się.

Nikt nie zdoła opisać radości burżuazji po klęsce bojowników czerwcowych. Socjalizm został zniweczony, „społeczeństwo uratowane,” wraz z nim wszystko, co do niego należy: „rodzina,” „własność” i Bóg wie, jakie piękne rzeczy, które burżuazja czei w słowach, a w rzeczywistości depcze i hańbi. Socjalizm umarł! Dwanaście tysięcy „bandytów,” „podpalaczy,” nowoczesnych barbarzyńców — trudno mi wyliczyć te wszystkie obelgi, które wtenczas miotano; czytajcie artykuły *dzisiejszej* prasy o komunie paryskiej, a macie tam całą ich litanję; dziennikarskie sługusy burżuazji nie zadali sobie pracy nad wynalezieniem nowych obelg—

dwanaście tysięcy socjalistów zabitych, dwanaście tysięcy na drodze do „suchej gilotyny” — któż mógł tu myśleć o jakimś niebezpieczeństwie na przyszłość? Socjalizm był umarły i pochowany, nad jego trupem silnie ubito ziemię — jakżeby mógł jeszcze zmartwychwstać? Czas mijał — i republikę musiano wkrótce złożyć do grobu obok socjalizmu. A na grobie republiki postawił tron swój Napoleon — jakżeż mógł znowu zmartwychwstać socjalizm? Panowała „krew i żelazo”; prasę zakneblowano lub przekupiono; użyto wszelkich środków, ażeby pozyskać robotników dla Cesarstwa; usposobienie mas systematycznie zatruwano; publiczna i tajna policja zorganizowaną została do bezprzykładowych rozmiarów i wyniesioną do godności najwyższej instytucji państwowej; z armji zrobiono to, co jest jej prawdziwym przeznaczeniem w państwie dzisiejszym, a mianowicie straż pretorjańską, tresowaną, jak buldog — przeciw ludowi, jednym słowem, użyto wszystkich pomocniczych środków reakcyjnej dyplomacji, ażeby uprzędzić nowy wybuch. Żaden rząd nie mógł uczynić więcej, niż uczynił Bonaparte; wątpię, czy znajdzie się rząd, któryby tyle, ile ten, był w stanie zrobić. To, co Bismark i Stieber teraz w tym kierunku czynią, przejęli tylko od Cesarstwa. Nic dziwnego, że Bonaparte stał się bożyszczem burżuazji; i to nie tylko francuskiej, ale burżuazji wszystkich krajów, a w szczególności niemieckiej. Każdy z Was, moi przyjaciele, który o kilka lat wstecz sięgnąć może pamięcią, przypomina sobie tę bizantyńską cześć, z którą nasza prasa liberalna: Kladderadatsch, Volkszeitung, Nationalzeitung — im „liberalniejsza,” z tym większym zapalem, wielbiła bohatera 2 grudnia. On był uosobieniem opatrności, wyposażonej boskimi właściwościami wszechmocyi wszechmądrości. Jakiż koniec piosenki?

Po dwudziestoletnim letargu zaczął poruszać członkami olbrzym, którego miano za umarłego, a 4 wrze-

śnia 1870 r. podniósł się i powstał z grobu. — Tron *Bonapartego* runął, a *socjalizm ożył*.

W pół roku potym powstała *Komuna*. Socjalizm, który w 1848 r. tylko przez cztery dni wytrzymał walkę, teraz dłużej, niż przez dwa miesiące opierał się połączonym usiłowaniom popieranego przez prusaków francuskiego żoldactwa i zaledwie po ośmiodniowej walce ulicznej zwyciężony został. Rzeź straszniejszą była, niż w roku 1848, liczba skazanych na zesłanie była dwa razy większa, niż wówczas. Burżuazja francuska chciała tym razem do szczętu dom oczyścić ze śmieci, a burżuazja wszystkich krajów przyklaskiwała z zachwytem. Jednak dziś już, zaledwie cztery miesiące po zwycięstwie, spostrzega burżuazja, że odnosiła pyrrusowe zwycięstwa*) i że sobie samej cios zadała. Tak gruntownie wyprzątnęła rewolucję, że brak jest robotników w jej własnych warsztatach i fabrykach. I—socjalizm nie umarł. Żyje on w Paryżu, we Francji, w Niemczech, we wszystkich krajach kulturalnych—żyje w piersi każdego robotnika, który ma serce aby czuć, a głowę aby myśleć. Burżuazja nie może przecie zabijać każdego robotnika; a gdyby się to jej nawet udało, cóżby przez to osiągnęła? *Popęłnitaby samobójstwo*. Burżuazja żyje tylko z robotników; bez robotników przestaje ona żyć i przez robotników zostanie powalona — tego nieubłaganego następstwa nie może uniknąć. Rozwój burżuazji jest uwarunkowany wzrostem masy proletariackiej, a warunki ekonomiczne popychają proletarjat do socjalizmu. Im potężniejszą jest burżuazja, tym liczniejszy proletarjat, tym silniej-

*) Pyrrus, król Epiru, wojował z Rzymem i zwyciężył go z początku dzięki lepszej organizacji wojska. broniono się jednak tak walecznie, że po drugiej wygranej bitwie Pyrrus zawołał: „jeszcze jedno takie zwycięstwo, a jestem zgubiony” i, nie chcąc być zupełnie zniszczonym, dobrowolnie wrócił na okręty.

szy ruch socjalistyczny, tym potężniejsi *przeciwnicy* burżuazji. Jeżeli burżuazja ma zostać burżuazją, to musi ona wzmacniać proletarijat, a tym samym i socjalizm, który ją zniszczy. Jeżeli zwalczy ona proletarijat i socjalizm, to zniszczy podstawy własnej swojej potęgi, swojego *bytu*. W tym to „zaklętym kole” musi zginąć burżuazja.

„Ogniem i mieczem” nie można usunąć ze świata ruchu socjalistycznego. W czerwcu 1848 r. próbowano tego nadaremnie; nie lepszym powodzeniem cieszyła się krwawa łaźnia paryska w maju 1871 r. Tak jak czerwcowe powstanie świeciło zmartwychwstanie swoje w Komunie, tak Komuna świecić będzie kiedyś swoje zmartwychwstanie; wybuchy będą się powtarzały z rosnącą siłą, aż stary świat wyczerpie wszystkie swoje pomocnicze środki i w gruzy się zapadnie — o ile nie zostanie wynaleziona jakaś pokojowa pośrednia droga.

Brutalna siła nie zmoże socjalizmu. Ten, kto jest przejęty poczuciem swego prawa, nie zna trwogi. Niech nas rzucają do więzień, niech nas zabijają — sprawa nasza nie ucierpi na tym. Niepokromiony duch, który pierwszy kazał chrześcijanom z uśmiechem znosić męczarnie, ożywia i socjaldemokratów. Idziemy wciąż drogą, którą nam wskazuje przekonanie, nie bacząc, że pokryta jest trupami; maszerujemy naprzód, jak kolumna wojska, której szeregi przerzedzają kule nieprzyjacielskie, kroczymy do szturm — naprzód, póki nie osiągniemy celu.

Ze *gwałt* bezsilnym jest przeciw Socjaldemokracji, to pojmują również nasi przeciwnicy: chcą oni zwalczyć nas bronią „duchową.” Tworzą związki robotnicze, w których pouczają robotników, że między kapitałem a pracą panuje najpiękniejsza „harmonja” (zgodność); że prawdziwy interes robotników wymaga, ażeby szedł razem ze swoim pracodawcą, a jabłko niezgody w kwestji socjalnej rzuciła między obie klasy tylko garst-

ka cheiwych sławy, niesumiennych lub szalenie przesadnych ludzi. Niechże więc w dalszym ciągu nasi przeciwnicy zakładają je dla nas! Kłamliwość nauki o owej harmonji okaże robotnikowi najnamacalniej codzienna praktyka i jeżeli początkowo pod wpływem prasy burżuazyjnej robotnik żywił największe bodaj uprzedzenia względem Socjaldemokracji, wkrótce — że użyjemy popularnego określenia — uderzy on nosem o przeciwieństwo klasowe i wepchnięty zostanie duszą i ciałem w walkę społeczną, — a doświadczenie nauczy go, że, przy dzisiejszej produkcji kapitalistycznej, interesy robotnika i interesy pracodawcy są sobie przeciwne. Wzmiankujemy choćby to jedno, że w interesie robotnika leży żądanie jaknajwyższej płacy, w pracodawcy zaś interesie leży jaknajwiększe jej obniżenie. W tej nierówności — pominąwszy już ogólne stanowisko polityczne i społeczne dwu klas — leży źródło nieskończonych, nieustających starć i zatargów, jednym słowem, *walka klasowa*, w mniej lub więcej przewlekłej formie. I tak w ostatnich latach doczekaliśmy się dziwnej ironji historii, mianowicie: najzaciętsze i najdłużej trwające *strejki*, — a strejk, zawieszenie pracy, jest po walce ulicznej najsilniejszą formą walki klasowej, — te największe i najbardziej zacięte w Niemczech strejki w Waldenburgu, w Forst i t. d. prowadzone były przez robotników, którzy w Hirs-Dunkierówskich związkach robotniczych studjowali ewangelję nauki o harmonji, a którym teoretyczne mleko pobożnego sposobu myślenia, dzięki postępowaniu w praktyce ich pracodawców, zmieniło się w węzowy jad. Przy tej okazji należy nadmienić, że najgorszy „wybryk robotników” ostatnich czasów miał miejsce w pruskiej Hucie Królewskiej, od której każdy atom „socjalistycznej trucizny” zdaleka był trzymany.

Sądzę, że to samo powinno wystarczyć, aby postawić we właściwym świetle niedorzeczne twierdzenie,

jakoby ruch socjalistyczny mógł być przez jednostki „robiony.” Jednak należy tę kwestję pogłębić. A więc kilku ludzi miałoby wywołać ruch, który jednakowo obejmuje wszystkie kulturalne kraje i który prawie od stulecia bezpośrednio stanowi o historii Europy — ruch, bez którego nie możemy sobie wyobrazić drugiego francuskiego cesarstwa, bez którego znów nie możemy sobie wyobrazić gospodarki Bismarka. Jakąż obrazą dla robotników jest owo przypuszczenie! Setki tysięcy, miliony robotników pozwoliłoby zawrócić sobie głowę przez garstkę ludzi i na oślep pędziliby za nimi, jak stado owiec za przewodnikiem baranem! O wy, panowie burżuazja i inni reakcyjniści! Gdyby robotnicy byli tak niesamodzielnymi, jak to o nich przypuszczacie, albo też udajecie, że tak myślicie, wówczas miotaliby się bezsilnie w *waszych* sidłach, gdyż zaprawdę nie żałujecie wysiłków, ażeby ich schwytać i rozporządzać stokroć większymi środkami moralnych i materialnych wpływów, aniżeli Socjaldemokracja! Nadto znamionną cechą naszej partji jest, że zasadniczo zwalcza ona *wiarę w powagi*, i każdą myśl osobistego kierownictwa odrzuca. Przypuszczenie to jest nie tylko obrazą robotników, nie tylko niesłusznym w tym wypadku, ale jest także do gruntu *nienaukowe*, jest wynikiem poglądu, opartego na zupełnej nieznajomości historycznego rozwoju.

Dziecko, mające żywą wyobraźnię i nierozwinięty rozum, zaludnia świat książętami, olbrzymami i czarownikami. Widzi ono wszędzie rzeczy nadzwyczajne, cudowne, i przeczuwa wszędzie rządy tajemniczych sił. Na tym samym dziecięcym, a powiedzmy raczej, dzieciennym stanowisku stoją wszyscy ci, którzy uważają historję ludzkości za wytwór jakichś nadzwyczajnych, po nad ludzką miarę wyrosłych ludzi, już to lepszych, już to gorszych i w każdym zjawisku, w każdym ruchu, widzą kaprys lub samowolę tego lub owego osobnika, który, ażeby się nadawał do naznaczonej mu roli, przy-

bierany bywa we wszelkie możliwe nadnaturalne przy-
mioty. Z tego stanowiska wychodziło do tej pory
dziejopisarstwo, które nie było aż do najnowszych cza-
sów i niestety dla większych mas, dla których niedo-
stępne są nowsze dzieła naukowe—do dziś jeszcze ni-
czym innym, jak tylko połączeniem imion sławnych
książąt, wodzów i poszczególnych „bohaterów” *) z roz-
sianami między temi opisami bitew, okrucieństw, za-
machów stanu, przysiężeń. Jednym słowem, romans
sensacyjny najniższego gatunku, nawpół historia ry-
cerska, rozbójnicza, nawpół bajka dziecienna. Nauko-
we dziejopisarstwo dotąd (należy je odróżnić od uczo-
nego) jest jeszcze bardzo świeżej daty i głównym przed-
stawicielem tego kierunku jest anglik Buckle; bierze
on rozwój ludzkości, jako konieczny wynik wzajemnych
na siebie oddziaływań człowieka i przyrody. Naukowa
historja, jak wogóle nauka, nie uznaje żadnej samowoli,
tylko konieczność, żadnego kaprysu, tylko rozma-
itość, niczego cudownego i nadzwyczajnego, tylko natu-
ralne wyniki powszechnych praw. Cudowne posta-
cie starodawnej, bajecznej historii lub też historycznej
bajki, nikną wobec krytyki, jak potworne złudy pod
promieniem porannego słońca; kult bohaterów odrzuca się
na strych do rupieci zabobonów, „wielcy ludzie” zostają po-
niżeni, a ludzkość wywyższona.

Bieg historii jest nieskończonym zmaganiem się
człowieka z przyrodą, nieskończoną walką o byt—naj-
pierw walka, by nie być opanowanym przez przyrodę,
następnie walka, by opanować przyrodę. Owocem tej
krocie lat trwającej walki jest dzisiejsza kultura. Moi
przyjaciele, wiecie bez wątpienia wszyscy, że biblijna
teorja stworzenia świata została obaloną przez naukę.
Człowiek nie wyszedł doskonałym z rąk stwórcy, a póź-

*) Biorę te słowo w szerszym określeniu Carly’a.

niej nie zwyrodniał stopniowo, tak, że Pan Bóg musiał proroków, Zbawicieli i różne cudowne istoty zsyłać na ziemię, ażeby „*istoty, stworzone na obraz swój i podobieństwo*” uchronić przed zupełnym upadkiem; wiek ludzkości nie da się obliczyć na 5 lub 6 tysięcy lat. Badania geologiczne stwierdziły niewątpliwie, że ziemia w swojej stałej postaci — o wieku materji, z której składa się ziemia, nie możemy mówić, gdyż materja nie ma początku ani końca — że ziemia w swojej stałej postaci ma miliony lat i że człowiek w postaci mniej więcej już zbliżonej do takiej, jaką ma dzisiaj, egzystuje od setek tysięcy lat. Już przed krociami lat, za czasów mamuta, osiągnął człowiek — jak nam to ślady kamiennych narzędzi pokazały — pewną kulturę, która stawia go wysoko po nad zwierzęta i która wskazuje na pracę wielu poprzedzających pokoleń. Według szybkiego biegu teraźniejszości nie możemy obliczać postępu w czasach przedhistorycznych. Dziś, kiedy stoimy na barkach wszystkich poprzedzających nas pokoleń i nagromadzoną ich pracę kulturalną mamy w sobie i wkoło siebie, dziś kolosalnie podniosły się czynniki postępu, kiedy tymczasem w czasach przedhistorycznych, każdy krok naprzód był dziełem tysięcy lat. Wywnioskować to możemy z wykopanych narzędzi i sprzętów ze znacznie odległych od siebie epok. Pierwotny człowiek nie był tą dumnie wyprostowaną, ku niebu patrzącą istotą, na której rozwiniętym czole wypisany jest dyplom szlachectwa króla stworzenia, o którym opowiada myt Starego Testamentu. Jego rodowód stanowczo stawia go w szeregu zwierząt, — podobnie jak one, przechodził przemiany od prostej komórki; dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności udało mu się ubiec swoich krewniaków. Jakie kolosalne przetrzenie czasu przemieły, nim człowiek wstąpił w epokę historyczną, można się tylko domyśleć, a nie obliczyć. W każdym razie okres historyczny zajmuje

drobną część czasu w porównaniu z czasem przedhistorycznym, to jest z ciemnym okresem, kiedy człowiek nie mógł tworzyć żadnych trwalszych pomników swojego istnienia. Epoka historyczna zaczyna świecić w objawiającej się zdolności ludzkiej tworzenia *społeczeństw*. Człowiek dopóty nie miał historii, dopóki żył osobno i co najwyżej łączył się w *stada*, tak jak wszystkie zwierzęta. Dopiero od tej chwili, kiedy się stał *zwierzęciem towarzyskim*, „*politycznym zwierzęciem*,” — *zoon politikon*, zaczyna się jego historia. Jako *jednostka*, nie mógł się podnieść po nad zwierzęta, mógł tylko osiągnąć to w społeczeństwie, wspólnie z podobnymi sobie. Dopiero w społeczeństwie staje się człowiekiem. Cały postęp, cała kultura jest dziełem społeczeństwa. Im dalej rozszerza się obręb społeczeństwa, tym szybszym jest postęp, tym silniejszą kultura. Od pojedynczych osobników rozwój rozszerza się na plemię, naród, aż w końcu ogarnia całą ludzkość.

Dopiero w *społeczeństwie* tworzy się zarodek moralności. Człowiek musiał pojąć, że korzystniej jest dla niego łączyć się ze swojemi współbraćmi, aniżeli żyć w wojnie z niemi, a tym samym w ciągłej trwodze i niebezpieczeństwie. Zasada wszelkiej moralności: „nie czyni drugiemu, co tobie nie miło” jest wynikiem potrzeby, która wywołała to przekonanie, że ludzie mają *wspólne* interesy. Wprawdzie solidarność ta rozciągała się początkowo na najciaśniejsze koła i dopiero rozszerzyła się w szkole długich i przykrych doświadczeń, aż nareszcie doszliśmy do tego, że ostatnie granice solidarności, zachowują się tylko dzięki sile bagnetów. Pojęcie *ogólno-ludzkiej solidarności* jest najwyższą zasadą kultury i moralności i zupełne jego urzeczywistnienie jest zadaniem socjalizmu.

A zatem kultura jest *dziełem społeczeństwa*. Każdy człowiek, który żył kiedykolwiek, musiał walczyć o byt i w walce tej o panowanie człowieka nad resztą

stworzeń i nad przyrodą pomocnym być musiał. Każda jednostka przyczyniła się w części do sumy nagromadzonych zdobyczy kultury. „Wielcy ludzie,” o których opowiadają nam legendy historyczne, także, o ile rzeczywiście żyli, dorzucili swoją cegiełkę — wskutek pomyslnych okoliczności, może i nieco większą, niż inni nieznani ich bliźni — w każdym razie do tej bardziej owocnej działalności uzdolniło ich tylko *spoteczeństwo*. Podczas, kiedy, według legend historycznych, ludy przez niezwykle czyny kilku wielkich ludzi, stały się tym, czym są, to odwrotnie historia krytyczna wykazuje, że owi wielcy ludzie byli wytworami tych ludów. W oczach nauki nie znajdują łaski ani bożyszcza polityczne, ani religijne. Jak niegdyś chrześcijanie zrzucali z piedestałów pogańskie bożyszcza i przyglądającemu się z przerażeniem tłumowi pokazali, że ten straszny cudowny bóg, był niczym innym, jak zmurszałym drewnem lub kupą kamieni, tak wiedza spycha z piedestałów „wielkich ludzi” i wykazuje, że ludzie nic innego w nich nie podziwiali, jak urojenie swojej własnej fantazji. Wybierzemy największego może bohatera historycznego — Napoleona. Jakież legendy są przywiązane do jego imienia! Jakież nadludzkie czyny są mu przypisywane! I otóż krytyka historyczna zdarła mu aureolę i z cudotwórcy zdegradowała go na zwykłego awanturnika, który ze zręcznością rutynowanego gracza skorzystał z odpływu fali rewolucyjnej i wyniósł się na stanowisko, które mu wytworzyły okoliczności; jego czyny wojenne i prawodawcze odarto z pożyczonego i skradzionego blasku i dowiedziono mu w końcu, że zawdzięcza na wszelkich polach swoją sławę dziełom francuskiej rewolucji, a więc nie dziełom wielkiej jednostki ludzkiej, lecz wielkiego ludzkiego społeczeństwa*).

*) Na polu administracji i sztuki wojennej, jak też i prawodawstwa, Napoleon, jak to obecnie zostało zkonstatowanym, ubierał się w piórka Zgromadzenia Narodowego i Konwentu.

Komuna zburzyła kolumnę Vendome. Ujawniła się w tym zgodność z wyrokiem dziejów i zrozumienie tej prawdy, że ludzie nie mogą być wolni, dopóki nie wywołą się ze wszystkich przesądów, a zwłaszcza z kultu osobistości; kult ten bowiem jest najgorszym ze wszystkich rodzajów bałwochwalstwa, gdyż te na ziemi zamieszkałe bożyszcza są nam bliższe, niż te, które zostały wygnane do nieba. Chcemy tylko mieć nadzieję, że wkrótce tego rodzaju bożyszcza zarówno żywe z krwi i kości, jak te z żelaza i marmuru, zamienione będą w gruzu.

Naukowa historia jest najgruntowniejszą nauczycielką demokracji, gdyż wystawia ona pretensje arystokracji w całej ich nicości. Usuwa ona bohaterów, czarodziejów, a na pierwszy plan wysuwa człowieka i to każdego człowieka. Nie nadzwyczajnej sile wybranych jednostek zawdzięczamy naszą kulturę — nie, ludzkość powstała, jak te wyspy koralowe południowego oceanu, przez zbiorową pracę milionów i miliardów jednostek z niezliczonych pokoleń. Lub też, używając innego porównania: zapewne słyszeliście, moi przyjaciele, o wymoczkach, które tak są drobne, że zaledwie dostrzeżalne przez szkła powiększające, a jednak siłą swej zbiorowej pracy zmieniły powierzchnię ziemi; zapewne także słyszeliście o tym, że *Berlin* częściowo na pokładzie tych wymoczków jest zbudowany. Tak więc, jak te żyjątka przez tysiące i tysiące lat musiały działać i pracować, ażeby utworzyć fundament pod wspaniałe budowle „nowego cesarskiego miasta”, tak musiały działać i pracować tysiące ludzkich pokoleń, ażeby utworzyć fundament naszej nowożytnej kultury. Nie ten lub ów człowiek wydzwignął nas na teraźniejszą wyżynę — nie, to jest zbiorowa praca wszystkich ludzi i przypuściwszy, że wszyscy wyjątkowi ludzie źli i dobrzy nie żyliby, *bylibyśmy zupełnie tak daleko zaszi, jak jesteśmy obecnie.*

Nasi przeciwnicy uznają to bezwiednie, gdyż podobnie, jak dzicy bałwochwálcy, którzy biją lub rozbijają w kawały swe bałwany, o ile nie sprawiają żądanego od nich cudu — tak i oni rzucają w błoto swe bożyszcza, o ile nie oddają im oczekiwanych usług. *Bonaparte*, fałszywy siostrzeniec swego wuja, wczoraj jeszcze największy w świecie „mąż stanu,” dziś leży w pyłe pogardzony przez swoich niegdyś wielbicieli, a na jego miejscu czczą, jak bożyszcze, *Bismarka*. Na jak długo? Nie wiemy tego; ale to wiemy, że i ten bożek będzie obalony, i że ci będą go najgwałtowniej potępiać, którzy mu dziś niewolniczo palą kadzidła. Nasz sąd zatym będzie pełniejszym i sprawiedliwszym, gdyż my nie będziemy mieli rozczarowań i po jego upadku nie będziemy o nim ani gorzej, ani lepiej myśleli, jak obecnie.

Przyjaciele! Wybaczcie mi to krótkie zboczenie! Chciałem tylko wykazać, na jak bezpodstawnych przypuszczeniach opiera się twierdzenie, że rozwój ludzkości jest dziełem jednostek, dobrym lub złym odznaczających się osobników. Co zaś tyczy się przeszłości, to także stosuje się do teraźniejszości. Twierdzenie, że obecny ruch socjalny jest dziełem garstki ludzi, sztucznie przez zuchwalstwo, grzeszny kaprys stworzony, jest nawskroś nienaukowym i może być wygłoszone przez dzieci, nieuków, lub przez policjantów i tylko dzieci, nieuki i policjanci temu uwierzyć mogą.

Jednak dążenia nasze są „rewolucyjne.” Rewolucja? Straszdyło dla starych bab obu płci! Tak, *jeśteśmy rewolucjonistami! Chcemy zmiany obecnego społeczeństwa od góry do dołu.* Ale spójrzmy odważnie straszdyłu w oczy, a straci ono swoją okropność. Żyjemy pośród rewolucji i żyjemy rewolucją. Cała historia ludzkości jest ciągłą rewolucją! *Historja jest nieprzerwaną rewolucją* — jest ona stawaniem się, wzrostem, zmianą, postępem — ciągłą przemianą, ciągle

twórczym życiem. Póki człowiek żyje, jest rewolucjonistą. W tym, że jest niezadowolony z tego, czym jest, co posiada, w ciągłym dążeniu wyżej — jest właśnie człowiekiem. Jeżeli człowiek, jeżeli ludzkość przestanie być rewolucyjną, przestaje *istnieć* człowiek i ludzkość. Rewolucja, ruch jest *życiem* — cisza, zastój jest *śmiercią*.

Wyraz „rewolucja” ma naturalnie jeszcze inne ciałniejsze znaczenie. Rozumiemy przezeń „*gwałtowne*” zerwanie z istniejącymi formami państwowymi i społecznymi. A zatem to gwałtowne zerwanie, przez co i przez kogo dokonany będzie? Kto jest odpowiedzialnym za *wszystkie* dotychczasowe rewolucje? Nie ci, którzy podług praw ludzkiego rozwoju chcą uzyskać nowe formy do nowej treści, a nowy wyraz dla nowych idei — nie, winni są ci, którzy usiłują przez egoizm lub krótkowzroczność przeszkodzić naturalnemu i koniecznemu rozwojowi ludzkości. Często przytaczane, lecz trafne porównanie mówi: potok płynie spokojnie, póki nie natrafi na przeszkodę, która bieg jego tamuje; wówczas wstrzymany przez skały zmienia się w dziki wodospad, lub też, niszcząc, zalewa pobrzeża — takim jest także bieg historii świata. Tu, gdzie spotyka spiętrzone przeszkody, powstają wiry, wodospady, powodzie — bunt, powstania, rewolucja. Wszystkie rewolucje w tym dosłownym znaczeniu tego wyrazu, o których nam opowiada historia, nie były dziełem tak zwanych rewolucjonistów, tylko tych, którzy naturalnemu biegowi rozwoju stawiali przeszkody. *Wszystkie zatem rewolucje mają charakter odporny, nie zaczepny.*

Obronna była *wojna chłopska* — była ona prowadzona w obronie najświętszych praw ludzkich, których państwo feudalne uznać nie chciało; obronnym było zdobycie Bastylji — było koniecznym ze względu na groźne ruchy wojsk dworskich; obronną była napaść na Tuilerje dnia 10 sierpnia 1792 r. i panowanie teroru

było koniecznym — ażeby ochronić Francję od spisków wewnętrznych, a napaści zewnętrznej; obronną była *rewolucja lipcowa* (1830) przeciwko zamachom króla Burbona na wolność obywatelską; również obronną była *rewolucja lutowa* (1848) — przeciw rozkładowym wpływom mieszczańsko-królewskiej gospodarki; obronną *niemiecka rewolucja marcowa* (1848) — przeciw wrogiej ludowi działalności *kamarylli* (zgrai dworskiej); obronną była *walka czerwcową* (1848) — narzucona proletariatuwi przez burżuazję, która chciała za wszelką cenę zdusić socjalizm; obronną była *rewolucja wrzesniowa* — żeby uchronić Francję przed hańbiącym następstwem zamachu stanu pod Sedanem; obronną na koniec była *komuna*, ta tragiczna *próba* ratowania francuskiej republiki, z chwilą, kiedy Francja po raz drugi w przeciągu roku była przez rząd zdradzona.

Tak też i w przyszłości nie będzie rewolucji innej, jak służącej ku obronie. Jesteśmy rewolucyjni, ale ruch rewolucyjny, w którym i dla którego jesteśmy czynni, wtedy tylko prowadzić będzie do gwałtów i krwi przelewu, jeżeli będą tego chcieli nasi przeciwnicy, a z tym rząd i burżuazja.

Przyjaciele! Starałem się udowodnić, że nasz ruch nie jest sztucznie wywołany, lecz wyrósł organicznie ze stosunków; a zatem nie wcześniej ustać może, aż przyczyny nie zostaną usunięte. Chcę teraz omówić najgłówniejsze wyrzuty, zarzuty, oskarżenia, które nieprzyjacielska prasa przeciwko nam podnosi i któremi chcą po części naszą partję poniżyć w opinii ogółu, po części nas pokłócić między sobą.

Przedewszystkim nasi przeciwnicy starają się systematycznie oczernić tak zwanych „przewódców,” ażeby pozbawić ich zaufania reszty członków partji. „Przewódcy” powiadają — a możemy to codziennie czytać w wielkich i małych rządowych i burżuazyjnych dziennikach. — „przewódcy żyją z potu robotnika,” „opływają

oni we wszystko kosztem robotników,” „traktują swą działalność polityczną, jako korzystny interes” i t. d. Znam wprawdzie ludzi, którzy się tuczą potem robotników, opływają we wszystko — to są *panowie burżuje*, którzy bogacą się niedostatecznie opłaconą pracą swoich niewolników najemnych; co się tyczy *panów urzędników*, a przynajmniej wyższych — gdyż niższy urzędnik jest tak samo proletariuszem i w interesie jego leży łączyć się z nami — to zapytuję: z kąd pochodzą pieniądze na pensje urzędników? czy nie z podatków? A kto płaci podatki? Nikt inny, jak robotnicy: robotnik przemysłowy i rolny, który *wszystkie* podatki płacić musi, nawet i te, które nie są bezpośrednio w formie podatków ściągane. Niechże ci panowie sami na siebie rzucą kamieniem! „Życ z potu robotników!” Zaprawdę, panowie, burżuazja sama robi to tak gruntownie, że po niej trudno jeszcze coś zabrać. Cóż możemy jeszcze odebrać robotnikowi? Dzięki dzisiejszemu sposobowi wyzysku nie posiada on nawet tyle, ażeby sobie i swojej rodzinie stworzyć chociaż w przybliżeniu ludzki byt.

Gdyby owi „przewódcy” byli ludźmi, których pobudką postępowania jest nie ich własne przekonanie, ale chęć zysku, wtenczas udałoby się do właściwego źródła, *tam, skąd można coś dostać: do burżuazji, do rządów, które mają takie masy pieniędzy*. Kto się chce sprzedać, sprzedaje się więcej dającemu. Nie chcę twierdzić, aby owi dziennikarze, którzy miotają z polecenia swoich chlebobawców nam w twarz to oskarżenie, nie mieli uczciwej wiary w to, co piszą, ale w każdym razie mają — szczęście służenia sprawie, która ma pieniądze i która może ich dobrze, a o ile mają talent, nawet świetnie wynagradzać. Miljony, przeznaczone w Prusiech na fundusz prasowy, dobrze płatne posady państwowe i społeczne, nie są *dla nas*.

Już pomijając pieniężne sprawy, jakież „korzyści”

mają ci „przywódcy?” Czy te, że, stojąc na przodzie, wydani są na cel napaści wrogów, prześladowań władz? I co gorzej: że wyrwani są ze zwykłej kolei życia, z regularnej pracy zarobkowej? Wprawdzie sama walka, (nie bacząc na to, że wróg nasz używa w niej nieuczciwych środków, gdyż wobec nas znikają wszelkie względy, nie tylko polityczne, ale i moralne, i nasi przeciwnicy stosują tu zasadę: *contra hereticos nulla fides!* (przeciw heretykom nie przebierać w środkach), sama walka ma swoje podniety, swoje rozkosze; ale zakłócone, a często zniszczone szczęście rodzinne, niepewność egzystencji, troska o wyżywienie, która często potęguje się do zupełnej nędzy — to chyba los nie do pozazdroszczenia.

Kto się sprzedaje, sprzedaje się, ażeby móc prowadzić życie zbyt kowne, a nie żeby cierpieć głód i niedostatek. Pomiedzy tak zwanymi „przywódcami” naszej partji nie znam ani jednego, któryby nie ucierpiał materialnie przez swoje stanowisko w partji. To jest przecie najlepszym dowodem uczciwości i bezinteresowności. Zapewne dla naszych wrogów, którzy za jedyną gwiazdę przewodnią obrali sobie w praktyce życiowej egoizm, a w teorji zrobili go kamieniem węgielnym swojej pozornie ludowej, a właściwie burżuazyjnej nauki ekonomji, dla nich podobna bezinteresowność jest na siedm pieczęci zamkniętą księgą: niezdolni są pojąć, że są zasady, że są ideały, które tych, co im się oddali, robią nieczułami na nędzę i niebezpieczeństwo. Gdyby zdolni byli to pojąć, nie byłiby naszymi przeciwnikami. Żądza sławy, chęć odznaczenia się są potężnymi bodźcami, ale po tysiąc razy potężniejszym bodźcem jest poczucie obowiązku, poczucie prawa. Tym bodźcem można świat z posad ruszyć!

Przyjaciele! Przystępuję teraz do owych rozmaitych zarzutów, które stawiają wogóle socjaldemokracji, a stawia się je w podwójnym celu: podjudzenia przeciw

nam opinię publiczną i zachwiania słabych na duchu, nie dość wyrobionych przekonaniowo członków partji. Czy i o ile się to pierwsze udało, nie mamy potrzeby badać; co się zaś tyczy ostatniego, to usiłowanie to jest daremnym, nie daje się jednak zaprzeczyć — a ja na moim stanowisku w piśmie partyjnym miałem wielokrotnie sposobność przekonania się o tym — że członkowie partji bardzo często byli chwilowo stropieni tego rodzaju napaściami pism miejscowych. Przyjrzyjmy się kolejno najważniejszym oskarżeniom.

Popierwsze od tego zaczynam, gdyż stoi to na pierwszym planie u naszych przeciwników, — zarzucają nam, że *chcemy znieść własność*. No, moi przyjaciele! Nigdy chyba również bezpodstawnego kłamstwa nie wypowiedziano! Co to jest własność? Jak nas uczy rozum i wiedza, jedno jest tylko źródło wartości produkcyjnej w sensie ekonomicznym. Kapitał jest sam produktem pracy, jakkolwiek ekonomiści, znajdujący się na żoldzie burżuazji, stawiają go, jako drugi czynnik wytwarzania wartości. Jeżeli praca wytwarza wartości, ona też ma prawo do wartości przez siebie wytworzonej, a *zatem prawo własności*. To prawo jest podstawową zasadą Socjaldemokracji. *Każdy robotnik powinien mieć całkowity wytwór swojej pracy*, — innemi słowami, każdy robotnik posiada prawo własności do całkowitego wytworu pracy. Własność moja powinna być owocem mojej własnej pracy. Zdanie: każdy ma prawo do wytworów swojej pracy dopełnia się następującym zdaniem: nikt nie ma prawa do wytworu *cudzej* pracy, zatem socjalizm dąży do tego, aby uczynić posiadaczem każdego, kto pracuje, a pozwolić cierpieć głód (nie mówię tu: umrzeć z głodu) każdemu zdolnemu do pracy, a niechcącemu pracować.

Sądzę, że bardziej stanowczo nie można wypowiedzieć się za prawem własności, niż my to czynimy! Już w dzisiejszym świecie, gdzie próżniactwo wyżej by-

wa cenione od pracy, a materialne stanowisko ludzi jest w odwrotnym stosunku do produktywności i pożyteczności ich pracy, ogromna większość ludzi musi pracować, chce tu powiedzieć *prawdziwie* pracować, nie dla przyjemności „*umysłowo*,” jak to o sobie w przystępie dobrego humoru utrzymują panowie burżuazji — więc podług *naszych* pojęć o własności już w *dzisiejszym* świecie powinnyby ogromna większość ludzi składać się z posiadających. Jakże to jest jednak według *panujących* pojęć o własności, według pojęć *naszych* przeciwników? Tylko drobna część ludności posiada własność; *własność jest monopolem tylko jednej klasy*, reszta ludności, *olbrzymia większość musi rzec się własności, wytwarzać własność dla mniejszości*. Właśnie dla tego zwalczamy burżuazję, że czyni ona niemożliwym proletariatowi posiadanie własności i że robotnika z należytą mu własności okrada. Proszę o zrozumienie mnie. Nie piętnuję każdego pojedynczego burżuazji mianem złodzieja. My wogóle nie zajmujemy się osobistościami, tylko *systemem* — w przeciwnieństwie do *naszych* przeciwników, którzy unikają krytykowania *naszego systemu*, a starają się osobiście nas oczernić; — pewna to oznaka, że nie wierzą oni w siłę, słuszność swojej sprawy. Nie mówię tu o *pojedynczych członkach* burżuazji. Jestem daleki od zamiaru czynienia ich *osobiście* odpowiedzialnymi za zło dzisiejszego społeczeństwa. Nasze pojmowanie historycznego i ekonomicznego rozwoju już z góry wyłącza tego rodzaju zarzuty. Świat burżuazyjny wyrósł prawem przyrody ze świata feudalnego, tak jak świat feudalny ze starożytnego. My pojmujemy historję *organicznie*, nie *mechanicznie*: wiemy, że każda rzecz mieć musi swój grunt, swoją przyczynę i tylko najjaskrawsze nieuctwo dostrzega w zjawiskach świata samowolę, czy to w złym, czy to w dobrym. My nie ośmielamy się powiedzieć: „Ludzkość szła dotąd błędnymi drogami; chcemy jej pokazać prawdziwą dro-

ge, a kto tak, jak my, nie myśli, jest łotrem lub głupcem! Byłyby to słowa młodzieniaszków lub szarlataków. Nauka nie zna omyłki w *rzeczach*, zna ona tylko mylne pojmowanie *rzeczy*. Dzisiejsza produkcja rozwinęła się organicznie z poprzednich systemów produkcji, jest *wyższym* systemem produkcji, niż wszystkie poprzednie i jest zupełnie usprawiedliwioną, ale teraz przeciw niej występuje nowy ustrój produkcji — socjalistycznej — któremu z równą koniecznością będzie musiała ustąpić, jak przed nią ustąpić musiał system średniowieczny i drobnomieszczański.

A więc, nie na własność wogóle napadamy, a tylko na własność w jej dzisiejszej formie — własność, zdobytą wyzyskiwaniem innych ludzi, którzy tym samym skazani są na brak własności. Rzućmy pobieżnie okiem na sposób, w jaki dziś powstaje własność. Powiedzieliśmy już: zdanie, że praca jest źródłem wszelkiego bogactwa, uznane jest jednogłośnie przez naukową ekonomję polityczną; wynika stąd, że nikt nie ma prawa do wartości, która nie jest produktem lub równoważnikiem produktu *jego własnej pracy*. Dowiedzionym jest, że siła robocza, zdolność wytwórcza ludzi jest mniej więcej równa — jeden wyprodukuje nieco więcej, drugi nieco mniej, ale to mniej czy więcej nie wiele się oddala od przeciętnej linii. Stąd wynika dalej, że *wytwór pracy* wszystkich ludzi przy użyciu tych samych narzędzi produkcji — jak to ma miejsce w obrębie każdego danego kraju — jest mniej więcej równy i że, gdyby każdy otrzymywał owoc swojej własnej pracy, własność byłaby prawie równa. Jak wiemy, nie dzieje się tak, lecz przeciwnie panuje jaknajwiększa nierówność. Skąd to pochodzi? Wy, moi przyjaciele, którzy mieszkacie w mieście fabrycznym, macie najlepszą sposobność zauważyć, jak powstaje ta nierówność społeczna. Każdy z was zna jakiegoś fabrykanta, którego widział bogacącego się.

weźmy na przykład p. Zimmermanna z miasta Chemnitz prawdziwie typowego burżua, o którym zapewne wszyscy słyszeliście — w Crimitschau nie mam znajomych fabrykantów: ten, o którym mówię, przybył przed 20 czy 30 laty do Chemnitz tak ubogim, jak najuboższy z nas; udało mu się zebrać mały kapitalik — wówczas mogło to się zdarzyć, gdyż wielki przemysł nie był jeszcze tak rozwinięty, kapitał nie był jeszcze skoncentrowany, jak teraz, z setką talarów można było więcej zrobić, niż dzisiaj z tysiącem. „Miał szczęście”, to znaczy dostał zamówienie na robotę, którą kazał wykonywać najętym przez siebie robotnikom; brał wprawdzie sam udział w pracy, ale nie większy, niż każdy poszczególny robotnik; gdyż jest powszechnie wiadomym — i to czyni przykład ten szczególnie pouczającym — że zdolności pana Cimermana nie przewyższały przeciętnej miary pod żadnym względem. A zatem, z początku zatrudniał p. Cimerman dwunastu robotników, później stu, nareszcie przeszło tysiąc i p. Cimerman jest obecnie milionerem, a więc posiadaczem, co się nazywa, gdy tymczasem jego robotnicy nie posiadają, są proletariuszami pozbawionymi własności. Skąd pochodzi ta różnica? Rodzajem pracy nie da się objaśnić, gdyż osobista praca p. Cimermana jest zupełnie przeciętnej miary. Z pewnością nie pracował on lepiej, a co więcej nie tak wiele, jak większość jego robotników. A jednak został milionerem, a oni pozostali proletariuszami. Zysk z jego własnej pracy nie mógł go uczynić milionerem. Gdyby praca w jego fabryce była tak zyskowną, to w takim razie wszyscy, a przynajmniej większość jego robotników stałaby się milionerami; a jednak pozostali oni proletariuszami. I tu właśnie, moi przyjaciele, jest jądro kwestji. Pan Cimerman otrzymywał *więcej*, a jego robotnicy *mniej*, niż wynosił wytwór ich własnej pracy. Robotnicy p. Ci-

mermana musieli pozostać proletariuszami, żeby on mógł stać się milionerem. I jakkolwiek nie każdy pracodawca staje się panem Cimermanem, to jednak każdy, z nich został w ten sam sposób kapitalistą, co i p. Cimerman — mianowicie *przez pracę swoich robotników*. Rezultat rzuca się w oczy; nie tak jasno wychodzą na jaw przyczyny. Użyłem tu właśnie wyrazu *pracodawca*; właściwie powinien on brzmieć „*pracobiorca*”. Stary świat lubi wyrażenia, które wykrzywiają pojęcia, a często zupełnie je wywracają. Nazywa on *pracodawcą* tego, który *bierze* pracę innych, a *pracobiorcą* tego, który *oddaje* swoją pracę innym. Dzisiejsza wielka produkcja nie pozwala każdemu na własną rękę produkcyjnie pracować; czyni ona wspólną pracę wielu koniecznością; wymaga ona skomplikowanych narzędzi pracy, których nabycie przechodzi możność każdego, który nie posiada nic więcej, jak wytwór swojej własnej pracy—o ile otrzymuje go w całości przy dzisiejszym systemie produkcji. Następstwem tego jest, że wszyscy ci, którzy nie rozporządzają odpowiednim kapitałem—a przy dzisiejszym systemie produkcji nikt nie może go zebrać z własnej pracy — są zmuszeni pracę swoją sprzedawać temu, który posiada odpowiedni kapitał; cena, jaką ten płaci za pracę, jest to *płaca*. I—nawiasem mówiąc—kupuje on nietylko pracę, ale zarazem robotnika, który przecie jest nieodłączny od swojej pracy, i *wraz ze swoją pracą sprzedaje siebie samego*. Kupujący, jak wiecie, twierdzi, że jest „*dobroczyńcą*” kupionego, — on „*daje*” mu przecież pracę, a tym samym chleb, którego tamten inaczejby nie miał. To jest teoria tak zwanego *pracodawcy*. W rzeczywistości rzecz ta inaczej się przedstawia. Gdyby „*dobroczyńca*” płacił pełną wartość tego, co robotnik wytworzył, to przy końcu roku—choćby zatrudniał tysiąc i dziesięć tysięcy robotników—*nie byłby ani o grosz bogatszym*, jak w początku roku. Ale nie leży to w planach „*dobroczyńcy*”—*on chce się*

zbogacić, powiększyć swój kapitał, i ażeby to osiągnąć, musi robotnikom swoim mniej płacić, aniżeli to, co oni wytwarzają. Czyli innemi słowy: płaca, którą on daje nie jest zupełnym równoważnikiem danej pracy, robotnik wytwarza po za wartością zapłaconą *nadwartość*, za którą *nie zostaje* zapłacony; a ta właśnie nadwartość wytwarza dzisiejszy burżuazyjny kapitał. Nie mogę tu wnikać głębiej w tajemnice tej wytwórczości. Odsyłam was do „*Kapitału*”, napisanego przez Karola Marksa, który tym jest w dziedzinie ekonomji, czym Buckle w dziedzinie dziejopisarstwa, Darwin w dziedzinie badań przyrodniczych. Dość — że nie tak zwany *pracodawca* jest *dobroczyńcą* robotnika, ale robotnik jest *dobroczyńcą* tak zwanego *pracodawcy*. W każdym razie *dobroczyńcą* nie z własnej woli. Gdyż jego dobroczynność czyni go proletariuszem, płatnym niewolnikiem tego, którego wzbogaca. Czy to jest w porządku? Czy to jest sprawiedliwie? Ten tylko, kto znajduje w tym osobistą korzyść, może rzec: tak. Robotnicy musieliby znajdować przyjemność w znoszeniu nędzy i niewoli, jeżeli by nie chcieli wyteńczyć wszystkich sił, aby kres położyć takiemu porządkowi rzeczy.

System najmu jest kamieniem węgielnym dzisiejszego panowania klasowego i wszystkiego zła, które ono za sobą pociąga. *Usunąć system najmu* jest najpodnioslejszym celem ruchu socjaldemokratycznego. Robotnik powinien uzyskać całkowity wytwór swojej pracy i praca jego powinna mieć produkcyjność pracy zbiorowej, spotęgowaną przez nowoczesną wiedzę; to jest naszym celem. Nie zamierzamy tym wykonać zamachu na własność prywatną, ani rujnować własności. To, czego chcemy, jest: umożliwić posiadanie własności *każdemu człowiekowi*; uchronić własność robotnika przed szponami kapitału. I to chcemy osiągnąć przez *zrzeszenie*. Robotnicy, zamiast pracować na rachunek kogoś trzeciego, który ich wyzyskuje i robi z nich niewolników,

powinni pracować razem na własny rachunek, jako równouprawnieni wolni ludzie, i otrzymywać całkowity wytwór swej pracy.

Nie zapoznajemy tu korzyści skoncentrowanej produkcji, wiemy, jak podział pracy podnosi jej wydajność. Chcemy zatem utrzymać korzyści dzisiejszego wielkiego przemysłu, a przez ześrodkowanie całej produkcji i przez swobodny rozwój jednostki jeszcze bardziej spotęgować, ale chcemy, ażeby te korzyści zarówno wszystkim przypadły w udziale, a nie były monopolem garstki uprzywilejowanych.

O ile dzisiejszy system produkcji będzie trwał dalej, zbliżymy się do warunków, jakie panowały w starożytnym Rzymie, gdzie w końcu, posiadanie skoncentrowało się w rękach kilkudziesięciu ludzi, a reszta ludności oddaną była na łup przerażającej nędzy i upadku. Naprzykład, cała północna Afryka należała do 2 czy 3-ich posiadaczy, których Nero pozbawił własności w najpierwotniejszy sposób, t. j. przez ucięcie im głowy. Jeżeliby u nas teraz rzeczy w podobny sposób doszły do ostateczności, to przypuszczalnie nie cesarz, ale lud przedsięwziąłby wywłaszczenie. Ale wywłaszczenie byłoby nieuniknione. Stan ten nie może przetrwać do nieskończoności, gdyż sprzeciwia się to interesom ogółu, ponieważ na dłuższy czas nie może się pogodzić z *istnieniem społeczeństwa*, pomimo tej „harmonji”, o której nam mówią i którą my, żli socjaldemokraci, przez nasze „podkopywania” usiłujemy zamięć. Gdzie jest ta harmonja? Jest ona wynalazkiem panów burżujów, bajką nianiek dla zdzienniałych filistrów i dla tych robotników, którzy jeszcze nie nauczyli się myśleć. Strejki, o których już poprzednio mówiłem i które wszędzie w Niemczech, w Anglii, w Ameryce — słowem, we wszystkich państwach, posiadających nowoczesną produkcję, wybuchają bez przyczynienia się „przywódców”, a często wbrew

nawet ich życzeniom i pomimo, najdotkliwszych klęsk, wciąż się ponawiają — są najlepszą odpowiedzią na ów frazes o harmonji i najlepszą jej ilustracją.

Czyż to my chcemy mieć harmonję? Głupie kłamstwo. My chcemy stworzyć harmonję, chcemy zreformować teraźniejszy ustrój społeczny, gdyż on to doprowadził do wrogiego starcia interesy ludzkie, ponieważ przeciwstawił sobie uciśnionych i uciskających, wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Harmonja, do której dążymy, polega na *współdziałaniu*. Nie powinno być więcej panów i sług, tylko *towarzysze, ludzie o równych prawach i obowiązkach*.

Tylko w zrzeszeniu, opartym na zasadzie równości, możliwą jest harmonja. To nie jest sen — idea ta jest przez tysiące lat wypróbowana.

Od tysiąca lat mamy już związek, który jest podstawą całej kultury — małżeństwo. Mąż i żona mają wspólne interesy. Mówię tu tylko z ekonomicznego punktu widzenia. Niejeden z was, moi przyjaciele, był w tym położeniu, że musiał trzymać gospodynię i zapewne doświadczył wtenczas, że, nie mówiąc już o wielu nieprzyjemnościach, koszta utrzymania były nieproporcjonalnie duże. Dla czego? Gospodyni ma swoje odrębne *interesy*, które są wprost przeciwne interesom pana domu. Przedewszystkiem pilnuje ona swojej własnej korzyści. Co innego żona. „Mąż i żona jedno ciało“, mówi przysłowie. Żona ma te same interesy ekonomiczne, co i mąż, jego zysk jest jej korzyścią, a jego strata jej stratą. Jeżeli żona oszukuje męża, oszukuje samą siebie. Jednym słowem istnieje tu harmonja interesów i w tej harmonji obie strony znajdują swoją ekonomiczną korzyść. I to jest przyczyną, dla której żona taniej prowadzi dom, aniżeli gospodyni. To samo da się powiedzieć o dzisiejszej produkcji burżuazyjnej. Ten, tak zwany, pracodawca ma inne interesy, niż robotnik. Robotnik ma interes

w tym, ażeby jaknajmniej pracować za otrzymaną płacę, zaś tak zwany pracodawca ma interes w wyduszeniu jaknajwiększej pracy za daną płacę. (Wybaczenie nieparlamentarne wyrażenie — w tej chwili nie wpadło mi na myśl inne równie wymowne). W interesie robotnika leży sprzedać swoją pracę na możliwie *krótki czas*; w interesie tak zwanego pracodawcy leży *przedtużenie* o ile się da czasu kupionej pracy, nie troszcząc się o to, czy w tych warunkach ginie fizycznie i moralnie robotnik. Krótko mówiąc: wrogie interesy i najjaskrawsza dysharmonja, zamiast owej „harmonji“!

Jak dobrze pojęła burżuazja korzyści, wypływające ze współdziałania, pokazuje nam oszustwo niedawno wymyślane pod nazwą „udziału w zyskach“. Ma ono na celu jedynie siłę produkcyjną zasady współdziałania, zrzeszania się wyzyskać na korzyść kapitału. Robotnika zachęcają przez rzucony mu na przynętę „udział w zyskach“ do gorliwszej pracy, aniżeli to ma miejsce przy zwykłej pracy i, kiedy sądzi, że pracuje na swoją korzyść, pracuje na swoją szkodę, pozwalając humanitarnemu kapitaliście, który mu rzuci tłusty kasek na przynętę, zdobyć *twią część* przez gorliwszą pracę pomnożonych zysków. Liczba robotników, którzy się dali schwytać na ową przynętę, jest wogóle niewielka — znak, że to nadużycie zasady współdzielczej przez wrogów tej zasady zostało zauważone przez masę robotniczą.

Powracam teraz do zarzutu, „jakobyśmy chcieli zniszczyć własność,—ten sam zarzut, tylko wypowiedany często w zmienionej formie — socjaldemokraci żądają „podziału dóbr“! Naturalnie chcemy się dzielić z temi, którzy coś posiadają, a zatył z klasą posiadającą. Otóż okazało się w ostatnich czasach, iż proletarjat miał kilkakrotnie w swoich rękach klasy posiadające, a zatył miał najlepszą sposobność, ażeby się z nimi „dzielić“ albo też, mówiąc bez obsłonek, rabować. Przypominam

tu rewolucję lutową, dnię marcowe w Wiedniu, Berlinie i gdzieindziej, czasy Komuny. Wbrew niektórym umyślnie rozpowszechnionym kłamstwom, faktem jest, że nigdy własność nie była tak szanowana i, zupełnie już pomijając *podział* na wielką skalę, nigdy nie popełniono mniej *występków przeciw własności*, jak właśnie podczas tych przewrotów. Przyczyny tego są dwojakie: pierwsza, że proletarjat odróżnia ludzi od warunków i wie, że warunki te nie zmieniają się przez proste przechodzenie własności z rąk do rąk. Po drugie czasy rewolucyjne uszlachetniają i wyciskają na najbardziej zepsutych charakterach piętno ideału. To ostatnie pokazuje (statystycznie dowiedzione) zmniejszenie się nie tylko występków przeciw własności, ale zmniejszenie wogóle liczby innych przestępstw w czasach rewolucji: w Paryżu podczas rewolucji lutowej robotnicy posuwali poszanowanie cudzej własności tak daleko, że dla utrzymania w czystości swojej sprawy *zabijali złodziei*. Ja sam jeszcze w końcu lutego 1848 roku znalazłem na Tuilerjach te słowa kredą napisane: „*Złodzieje będą karani śmiercią*”. Przypomina mi to doskonały dowcip Henryka Heinego, największego poety niemieckiego po Goethem. „Burżuazja, pisał on—zdaje mi się, w jednym z listów do Ausburgskiej „Gazety Powszechnej”—zupełnie obojętnie patrzyła na upadek tronu lipcowego; ale z chwilą, kiedy się dowiedziała, że złodzieje będą zabijani, ogarnął ją strach paniczny i panowie Rotszyldowie i inni wielcy kapitaliści uciekli z Paryża, gdzie nie czuli się zupełnie bezpieczni”. Tak, ci — że nie powiem, złodzieje,—ale ci, „dzielący się”, ci *prawdziwi* dzielący się, którym ta sprawiedliwość ludu wówczas napędziła strachu, nie są to socjaliści, nie są to robotnicy, to są *panowie kapitaliści*. I ten więc zarzut naszych przeciwników możemy, jak piłkę, odrzucić im z powrotem.

Jak pracodawcy „dzielą się” ze swemi robotnikami

jużeśmy wytłomaczyli. W większym stopniu i jeszcze jakskrawszym okazuje się ten „podział” na giełdzie, tylko że tu nierobotnik, lecz drobnomieszczanin, stan średni w szerszym znaczeniu tego słowa, jest zwierzyną, na którą się poluje. Do czego dąży to *gründerstwo*, któremu prawie całe dziennikarstwo służy? Do rabowania publiczności przez zręcznych spekulantów. Czytajcie, proszę, sprawozdanie giełdowe z „*Leipziger Tageblatt'u*” (Dziennika Lipskiego), pisma, które bardzo różni się z nami w poglądach. W tych rzeczywiście doskonałych artykułach są scharakteryzowane spekulacje giełdowe, jako najczystszej wody rozboje. Spekulant giełdowy rozciąga swoje sieci i nieszczęśliwe półgłówki, które w nie wpadają, stają się jego ofiarami. Zapewne każdy z was słyszał o Strousbergu. W jaki sposób zdobył on swoje miliony? Nie pracą, tylko talentem eskamotowania cudzych pieniędzy do swoich kieszeni. Jednak Strousberg jest najzupełnie czcigodnym mężem według panujących pojęć o własności; królewski pruski urzędnik państwowy pomagał mu w jego operacjach, na których tym samym wycisnęła się pieczęć pruskiego państwa, ażeby nie było wątpliwości, że to polowanie na *cudzą własność* jest w duchu dzisiejszego państwa i dzisiejszego społeczeństwa*).

Zwróćmy się od tych wielkich „dzielących się” do drobniejszego gatunku, po części każdemu znanego z doświadczenia; mam tu na myśli *dających pożyczki na zastaw*

*) Głównymi współnikami Strousberga są: książę d'Ujest, książę von Ratibor i hrabia Lehnendorf. Oszustwa paryskiego „*Crédit-Mobilier*” i błogosławionego przez papieża Langrand'a mamy jeszcze w świeżej pamięci. Mniej znanym jest proces kupca Cadury w Wrocławiu: honorowy ten człowiek w spółce z siedmiu „Wielmożnemi i Jaśnie Wielmożnemi”, założył „przedsiębiorstwo”, zapisane w rejestrach handlowych drobną sumką 320,000 talarów, jako kapitał zakładowy”, gdy tymczasem cały obrót towarzystwa w przeciągu roku wynosił 9 talarów.

i faktorów. Tkacze w górach Kruszcowych pracują za głodową płacę, i ta płaca bywa i zmniejszoną przez ów wyżej wspomniany gatunek ludzi, kupca i fabrykanta. Tkacz, który przez dzień pracuje 12, 14 do 16-tu godzin, staje się z roku na rok biedniejszym, faktorzy, których jedyną pracą jest przenoszenie surowego materiału, a gotowego towaru od tkacza do kupca bogacą się prawie bez wyjątku. Dlaczego? Ponieważ umieją się „dzielić”. Weźmy inny przykład. Czy przypominacie sobie zgromadzenie ludowe, które zwołaliśmy przed kilku miesiącami w Lipsku dla omówienia kwestji zarządu miejskiego. Nasz przyjaciel Bebel dowiódł wtenczas, że podatki miejskie są ściągane przez klasy posiadające, które mają władzę, przeważnie z ubogich i przeważnie na korzyść zamożnych użyte. W Crimtschau dowiedziono czegoś podobnego i jeżeli dobrze sprawdzimy, to to samo zjawisko dostrzeżemy wszędzie, gdzie tylko istnieje panowanie klasowe, zarówno w państwie, jak w gminie. Leży to w naturze panowania klasowego, że k'asa panująca wyzyskuje swoją władzę dla korzyści osobistych i klasowych. Dlatego zwalczamy panowanie klasowe, jako źródło wszystkiego zła społecznego i przez nie spowodowanych politycznych bezprawii.

Jednym słowem — nie my to chcemy „dzielić”, my odrzucamy ten zarzut jego twórcom. My jesteśmy zasadniczo przeciwni wszelkim „podziałom” pod każdą postacią. Socjaldemokracja chce kres położyć tym „dzielącym”: i tym, którzy ujmują część wytworu pracy robotnika i tym, którzy pochłaniają drobną własność i tym, którzy podatkami lud wysysają. Przed tą hordą „dzielących się”, którzy jak szarańcza w państwie i gminie, na giełdzie, w przemyśle i handlu — gdyż i handel należy tu zaliczyć — pożerają owoce cudzej pracy, chcemy ochronić społeczeństwo, *pracę i własność.*

Jeszcze jedno. Jak wyobrażają sobie nasi przeciwnicy „ten podział”, który tak uparcie usiłują nam podsuwać? Czyż rzeczywiście przypisują taką naiwność robotnikom, że uwierzą oni w poprawę swego położenia za pomocą podzielenia majątku przez państwo według ilości głów?

Jestem od 25 lat w ruchu socjalistycznym, ale po dziś dzień nie spotkałem jednego towarzysza partyjnego, któryby wykazał takie nieuctwo. Każdy robotnik wie, że gdybyśmy przy dalszym trwaniu dzisiejszego systemu produkcji otrzymali w równym podziale wszystkie znajdujące się wartości, własność ziemską i ruchomy kapitał.—to nicby się tym w istocie w społeczeństwie nie zmieniło; skutki byłyby chwilowo usunięte, a przyczyny trwałyby dalej i musiałyby znów wywołać poprzednie skutki; po tym podziale i mechanicznym przywróceniu równości, musiałby nastąpić znowu pod wpływem panujących praw ekonomicznych organiczny zanik równości i po niedługim już czasie nastąpiłaby nierówność w całej swej poprzedniej jaskrawości; stalibyśmy znów na dawnym poziomie i musieliśmy znów „dzielić”. Nie, tego rodzaju niedorzeczności nie mieszczą się w głowie socjaldemokraty; Socjaldemokracja uważa społeczeństwo za organizm żyjący, nie za martwy mechanizm, lecz organizm, który, jak każdy indywidualny organizm, zwierzęcy lub roślinny, podlega ciągłej przemianie, i rozwija się od niższych form do wyższych, z tą tylko różnicą, że organizm zbiorowy, który nazywamy społeczeństwem, jest nieśmiertelnym i wiecznotrwałym i ze wszelkich kryzysów, które, według zdania małodusznych i techórzliwych, są dla niego śmiertelne, wychodzi odmłodzony i pełny świeżych sił. Dążymy nie do mechanicznych zmian, lecz do organicznych. *System pracy nojemiej*, na którym terazniejsze społeczeństwo wraz ze swojemi bezprawiami opiera się, *musi być zniesionym i zastąpio-*

nym przez system pracy wspólnej, która da każdemu wytwór jego pracy i tym samym wyzyskowi pracy przez kapitał postawi zaporę. Tylko za pomocą wyzysku możliwe jest zebranie *wielkich prywatnych kapitałów*. My zatem nie mamy wcale specjalnej potrzeby zasadniczego wywłaszczenia istniejących prywatnych kapitałów; zrzeczenia wytwórcze — z którymi, ogarniające oczywiście cały obszar handlu, związki spożywcze będą szły ręka w rękę, wessą stopniowo prywatny kapitał bez potrzeby masowego gwałtownego wywłaszczenia. Panom kapitalistom pozostaje zatem albo wstąpić do do związku lub też kapitał ich leży martwy i jest stracony dla nich i dla społeczeństwa, tak że w tym wypadku zapewne w ich własnym i społeczeństwa interesie byłyby potrzebne prawa przeciw takim nierozsądnym uchylaniom się, prawa, jakie dzisiejsze państwo znajduje przeciw utracjuszom, chorym na umyśle, jednym słowem, przeciw osobom niepożytecznym. Bądź co bądź jednak, jeżeli tylko raz społeczeństwo w stosunku do produkcji, jako też i do konsumpcji, a więc w przemyśle i handlu zorganizowane będzie w formie związków, już tym samym będzie kapitałowi prywatnemu nerw życiowy odcięty i musi on umrzeć, jak podcięte drzewo,*) gdy tymczasem praca twórcza bezustanku wytwarza nowe wartości i na miejsce obumarłych i wytwarza — dwakroć — i dziesięćkroć tyle.

Tu opowiadają nam wprawdzie — między innemi nawet niemieccy ekonomiści, między niemi nawet uczeni ludzie, jak profesor Roscher w Lipsku, utrzymują, — że praca nie jest jedynym czynnikiem, wytwarzającym wartość; i że są jeszcze dwa inne czynniki: siły

*) Fermerzy amerykańscy, chcąc lesisty grunt uczynić możliwym do uprawy, pozbawiają drzewa kory na wysokość człowieka, przez co umierają one: to nazywają „podcięciem”.

przyrody i—kapitał. Ta teoria przedstawia uderzający przykład, jak ograniczonemu lub nieuczciwemu zrobić może ludzi przesąd klasowy i wykazuje, że uczoność i myślenie są to dwie różne rzeczy. Że bez pomocy sił przyrody pracować nie możemy, to się samo przez się rozumie, wszak praca nie jest niczym innym, jak użytkowaniem sił przyrody. Bez ziemi, na której stoję, bez powietrza, którym oddycham, nie mogę nawet ruszyć palcem, siły przyrody są nieodstępniemi poprzedniczkami pracy, ale bez pracy nie mogą one wytwarzać wartości społecznych, *dopiero praca* czyni je użytecznymi w produkcji. Jest więc zupełnie nieusprawiedliwione stawianie ich, jako czynników produkcji, *obok* pracy. Mamy tutaj jednak do czynienia raczej z niedokładnością określenia, aniżeli z tendencyjnym kłamstwem, jakim jest bezwątpienia twierdzenie o trzecim czynniku, o kapitale. Kapitał *pomaga* bezspornie do produkcji, przyspiesza ją i podnosi, ale ponieważ kapitał jest tylko nagromadzoną pracą lub też, dokładniej, jest nagromadzonym produktem pracy, to nie może być postawionym, jako *samodzielny* czynnik obok pracy, lecz łączy się razem z czynnikiem „pracą” i tworzy *część takowego*. W najprostszej pracy najzwyklejszego wyrobnika tkwi także nagromadzona *praca kulturalna* lat tysiąca i *ten* kapitał, którego panowie ekonomiści *nie wliczają*, jako dla nich nieodpowiedni, jest nieskończenie ważniejszym dla produkcji, aniżeli zwykły kapitał.

Ażeby sobie uwidocznic, że to właśnie praca wytwarza kapitał, że kapitał bez pracy jest niczym i wszystko pracy zawdzięcza, potrzeba nam tylko wyobrazić sobie, że przyszedł gwałtowny potop, któryby zmiotł ze świata wszystkich robotników, a z niemi tych niegodziwych socjaldemokratów, a oszczędził panów burżujów wraz z wszystkimi ich kapitałami, fabrykami, maszynami, wspañiałemi pałacami. Cożby się stało? Albo kapitaliści musieliby sami pracować, lub też

pośród swego złota umrzeć z głodu, podobni owemu królowi z greckiej bajki (król Midas), który, mówiąc nawiasem i nie przymawiając nikomu, miał także ośle uszy. Weźmy teraz przykład odwrotny: potop zniósł wszystkich kapitalistów — nie życzę im źle nawet w przypuszczeniu, mogą wszak oni przenieść się na jakąś inną planetę (może na gwiazdę Wenus, gdzie Dante umieszcza swoich nieboszczyków), — więc przypuśćmy wypadek, że znikają z ziemi kapitaliści wraz z kapitałami, ale pozostają robotnicy, bez fabryk, bez maszyn, bez jakichkolwiek kapitałów, tylko z żywnością, która starczy do najbliższego żniwa. Jakież byłyby stąd następstwa? Robotnicy ukują sobie narzędzia, wybudują domy, zorzą ziemię, wykopią szyby kopalń, i w przeciągu kilku lat zniszczony kapitał byłby znów dzwignięty i ślady potopu zatarte; robotnicy jednak żyliby o wiele szczęśliwiej, niż poprzednio, pozbyliby się swoich dawniejszych panów, mieliby kapitał bez klasy kapitalistów. Uważam to za zupełnie pewne, że gdyby jakieś zjawisko lub wypadek zniszczyły burżuazję ze wszystkim, co do niej przynależy, nikt z pozostałych nie byłby tak naiwnym, aby ją sztucznie powoływać znowu do życia. Dość na tym: ten przypuszczalny przykład ma nam tylko wykazać, że robotnik nie potrzebuje kapitalisty i czułby się bez niego daleko lepiej, odwrotnie zaś — kapitalista potrzebuje robotnika i wprost nie może bez niego istnieć, przynajmniej jako kapitalista. Raz jeszcze — my nie chcemy „podziału“, jesteśmy nawet wrogami „dzielenia“, gdyż jesteśmy dalecy od dzielenia się z kapitalistami, a chcemy przeszkodzić, aby kapitalista „dzielił się“ z robotnikami; a mianowicie chcemy to osiągnąć przez powszechne wprowadzenie pracy zrzeszonej. Czyż to jest utopijne dążenie? Czy praktyczna możność przeprowadzenia zasady współdzielczej w przemyśle i handlu, nie wykazała się po tysiąckroć w doświadczeniu?

Wprowadzenie tego *powszechnie* jest tylko kwestją *pieniężną*. A kwestja pieniężna staje się kwestją dobrej woli. Wiadomym jest, że Lassal żądał 100 milionów talarów zapomogi od państwa dla stowarzyszeń wytwórczych i wywołał tym wrzask wściekłości burżuazji, która przepowiadała ogólne bankructwo, o ile temu żądaniu stanie się zadość. Czy żądana przez Lassala suma jest wystarczającą, nie chcę w tej chwili o tym mówić—w każdym razie jest to nędzny drobiazg w porównaniu z temi miliardami, które w dzisiejszych czasach wyrzuca się oknem na nieprodukcyjne, wrogie kulturze i niszczące dobrobyt cele. Weźmy tylko kolosalny budżet armji stałej, która służy do podtrzymywania panującego w państwie i społeczeństwie bezprawia i uprzytomnijmy sobie tysiące milionów, które pochłonęła ostatnia, przez obawę socjalizmu wywołana wojna? Zaprawdę, ilekolwiek potrzeba będzie na przeobrażenie społeczeństwa, bądź co bądź wprowadzenie lepszych porządków będzie mniej kosztowało, niż utrzymanie tych starych i złych.

Jednak idźmy dalej:

Zarzut *komunizmu*, który się łączy z poprzedniami zarzutami, mogę w krótkości odeprzeć. Co właściwie rozumieją nasi przeciwnicy przez słowo komunizm? Że leniwi, nie chcący pracować chcą żyć kosztem innych. No, moi przyjaciele, *ten komunizm istnieje dzisiaj*, jest on podstawową zasadą państwa i społeczeństwa i *przeciw niemu* kieruje się ruch socjaldemokratyczny. W rzeczywistości wyraz „komunizm” ma zupełnie odmienne, wprost przeciwne znaczenie — mówię w rzeczywistości, gdyż komuniści sami je biorą w tym sensie. Nie wyzyskiwanie pracowitych przez leniuchów, robotników przez niepracujących oznacza komunizm, ale przeciwnie: komunizm jest to podporządkowanie osobistych interesów interesom ogółu, *ratowanie jednostki przez łączność*; co zaś specjalnie ty-

czy się własności, to *podniesienie własności osobistej do własności wspólnej*; a więc nie *zniesienie własności* — tylko *upowszechnienie własności*, żeby każdemu dostępna była, kiedy tymczasem dzisiaj jest ona tylko przywilejem małej części ludności. W tym znaczeniu, właściwie określającym to pojęcie, chcemy komunizmu.

Kilku zdaniem przebiegnę najbliższemu nasuwając mi się zarzut, że jesteśmy „barbarzyńcami 19-go stulecia”, że chcemy „*zniszczyć kulturę*” i że zwycięstwo Socjaldemokracji będzie „końcem cywilizacji”. Partja, w której programie leży nie tylko bezpłatne ludowe nauczanie, ale wogóle wszelkie wychowanie i wykształcenie bezpłatne, nie może być tym zarzutem dotkniętą. Musimy jednak się przyznać do winy w pewnym stopniu. Tak, *chcemy* zniszczyć to, co nasi przeciwnicy nazywają „kulturą”, „cywilizacją”. *Chcemy* zniszczyć posiew nienawiści i niezgody, który zasiano między ludźmi, *chcemy* usunąć ciemnotę, noc duchową, w której pogrążona jest olbrzymia większość naszych braci. — Tak, panowie burżua, *ciemnotę* chcemy zniszczyć, my, wrogowie waszej kultury! Wasza kultura jest *przeciwieństwem kultury*. Ratować może się ona tylko skazaniem ludu na ciemnotę, czyniąc niedostępnymi dla niego skarby prawdziwej kultury i zamykając przed nim świątynię wiedzy. Otworzenie tej świątyni dla ludu jest naszym dążeniem, — wiedza, którą uczyniliście monopolem niewielu wybranych i za którą nie dacie kawałka chleba, o ile nie będzie schlebiał waszym kaprysom i nie jest waszą niewolnicą*) — *tę wiedzę my*

*) W czasie, kiedy wygłaszałem ten odczyt, nie wiedziałem jeszcze, że Fenerbach umarł głodową śmiercią. Umarły z głodu Fenerbach z jednej strony, a jako dopełnienie, wyniesiony na bożka przez burżuazję „arcyśotr klecha „Dollingerius,” — to wystarczy, ażeby scharakteryzować „wykształcenie” burżuazyjnego świata.

chcemy zrobić dobrem wspólnym. I to stać się ma przez system prawdziwego szkolnictwa ludowego — nie zakładów tresury, jak dzisiejsze szkoły ludowe, które są szyderstwem tego miana; nie szkoły ludowe, których nauczyciele umierają z głodu fizycznie, a uczniowie umysłowo, i gdzie dzieciom ubogich rzucają kilka nędznych okruchów, które nie mogą w najmniejszym stopniu wystarczyć, jako pokarm duchowy — nie szkół ludowych, w których zaledwie najelementarniejsze początki nauki są wykładane — nie, szkół ludowych w prawdziwym tego słowa znaczeniu, szkół dla „ludu“, w których wszystkie dzieci otrzymywać będą możliwie najwyższy stopień wykształcenia, które w każdym dziecku obudzają i rozwijają wszystkie drzemiące w nim zdolności i nie, jak dziś, kończyć się będą w wieku, w którym dopiero prawdziwe wykształcenie powinno się zacząć. Socjalizm jest „wrogiem kulturze“! Ponieważ daje on każdemu talentowi możność rozwinięcia się? Jakaż wielka dźwignia postępu kultury tkwi już w samym fakcie prawdziwego ludowego wychowania! Talenta są równomiernie rozsiane między ludźmi — jest to prawda, którą nauka podnosi po nad wszelkie wątpliwości i przy której silnie stać musimy, gdyż ona to tworzy podstawę socjalistycznego i demokratycznego światopoglądu; ale dzisiejsze społeczeństwo pozwala tylko niewielu ze szczególniejszymi warunkami na jednostronne, karłowate wykształcenie. Olbrzymia liczba talentów bywa teraz zupełnie tłumiona. Dziwimy się nieraz, dla czego w niektórych epokach powstaje tak wielu znakomych ludzi. Są to właśnie te epoki, które drzemającym talentom dają sposobność wypowiadania się i brania udziału w życiu. Mianowicie bywa to w epokach rewolucyjnych, które wymagają nowych sił ku obronie nowych idei i urządzeń. Weźmy, na przykład, tę masę wielkich mężów stanu, mówców i wodzów, którymi odznacza się rewolucja francuska. W takich czasach

nie bywa *więcej* talentów, niż w zwykłych czasach, ale—wyrażając się ekonomicznie — *jest więcej popytu na talenty*. Sposobność nie tylko robi złodziejem, ale tworzy ona także „wielkich ludzi”. „Wielki człowiek” jest zwykłym człowiekiem, który miał sposobność *sta-*
nia się „wielkim”. Mówię to tylko dla wskazania, jak nieskończenie nasza kultura będzie wzmoczoną, jeżeli kiedyś społeczeństwo weźmie na siebie zadanie, doprowadzenia talentów *wszystkich* do możliwego rozwoju. A więc jaknajwyższą sumę wykształcenia *dla wszystkich!* I wolną chcemy zrobić naukę, nie powinna być dłużej zakutą w kajdany, a kto jej służy, nie powinien być skazanym na materialną nędzę lub duchową prostytucję. Tak, zniszczyć chcemy *waszą* kulturę—zniszczyć, gdyż wrogą jest prawdziwej kulturze; gdyż nie godzi się ona z prawdziwą cywilizacją; gdyż zmusza naukę do sprzedawania się władzy bogactwa; gdyż, jako oparta na niesprawiedliwości, jest do gruntu niemoralną i do prostytucji naukowej dołączyła *prostytucję kobiet* — tę ohydłą plamę hańby na naszej nędznej kulturze.

I ci przedstawiciele społeczeństwa prostytucji mają czoło zarzucać nam — jest to następny atut, który przeciw nam wyrzucają — że chcemy zniszczyć *rodzinę*, wprowadzić „*wspólność kobiet*”, „*wolną miłość*”. No—wolna miłość, tak chcemy jej, chcemy uwolnić miłość z tych więzów, które na nią nałożyło teraźniejsze społeczeństwo. Ale jeżeli nasi przeciwnicy mówią nam o *wspólności kobiet*, o *zniszczeniu rodziny*, to tylko samych siebie oglądają w zwierciadle. Oskarżają nas o swoje własne grzechy. Dalecy od dążenia do *wspólności kobiet*, chcemy usunąć panującą *teraz* *wspólność kobiet*. Dalecy od niszczenia rodziny, mamy na celu *rodzinę*, *teraz* *poniżoną*, i w czystości swojej dla wielkiej masy stanowiącą nieosiągniony ideał, uszlachetnić i doprowadzić do tego, by swoje błogosławień-

stwo rozciągała na wszystkich. Z wielką radością widzę wiele kobiet obecnych na tym zgromadzeniu; jest to dowód, że kobiety zrozumiały, że ich również dotyczy ruch społeczny, jak wielki mają interes w zwycięstwie naszych zasad. Wiele się dziś mówi o tak zwanej *kwestji kobiecej*. Dla nas niema osobnej kwestji kobiecej i być nie może, gdyż interesy ludzkie solidaryzują się z sobą. Kwestja kobieca jest częścią wielkiej kwestji socjalnej i z nią razem będzie rozwiązana, bez niej nigdy. Kto chce wyzwolenia kobiety, nie walcząc o ogólne wyzwolenie społeczne, podejmuje beznadziejną, daremną pracę. Kto walczy o ogólne socjalne wyzwolenie, walczy zarazem o wyzwolenie kobiety. I zaprawdę, położenie kobiet w dzisiejszym społeczeństwie, samo przez się już wystarcza, ażeby usprawiedliwić ruch socjalistyczny, i na społeczeństwo, w którym są tego rodzaju warunki, wydać wyrok zagłady. Gdzież jest ta „świętość rodzinna”, o której bają nasi przeciwnicy? Czy znaleźć ją możemy u tych setek tysięcy prostytutek, które przebiegają ulice tak dużych, jak i małych miast i sprzedają swoje ciało więcej dającemu. Same m. Berlin liczy 20,000 prostytutek, a Berlin nie jest bardziej „niemoralnym”, niż inne miasta. Wszędzie w Niemczech, Anglii, Francji, Ameryce — wszędzie, gdzie są przeciwieństwa klasowe, gdzie jest rozwarta przepaść między bogatym i biednym, gdzie wyzyskiwanie człowieka przez człowieka jest uświęcone prawem, mamy plagę prostytucji. Prostytucja nie jest miejscową, nie jest narodową, — żaden naród nie może, jak faryzeusz, umyć rąk w niewinności i powiedzieć: „Dziękuję Bogu, że nie jestem tak zły, jak inne narody”. *Prostytucja jest koniecznym następstwem panujących warunków*, jest niezbędnem dopełnieniem burżuazyjnego małżeństwa, jego wstrętnym sobowtórem, — jest powszechną instytucją społeczną i drwi ze wszystkich usiłowań wytępienia. W dzisiejszym spo-

leczeństwie pozwala ona conajwyżej przepędzić się z targu na boczne uliczki przez obłudną policję moralności. Dopóki setki tysięcy dziewcząt będą miały do wyboru śmierć głodową lub sprzedaż swego ciała, dopóty trwać będzie prostytutcja. Zniknąć może tylko wówczas, kiedy każdemu człowiekowi daną będzie możliwość żyć uczciwie, a do tego potrzebny jest przewrót w dzisiejszym społeczeństwie, w dzisiejszym systemie produkcji. Najniżej upadła dziewczyna zasługuje na naszą litość, na nasze współczucie; jej historia, to tragedia społeczna, wstrząsająca tego, kto ma ludzkie serce w piersiach i w ludzkim sercu czytać potrafi. Złe wychowanie, zły przykład, brak rodziny, głód — to są działające przyczyny. Kto się odważy rzucić kamieniem na upadłe? na nieszczęśliwe ofiary społeczeństwa? Czymże jest prostytutcja, jeżeli nie wspólnością kobiet. Wspólność kobiet, w najniemoralniejszej, najbrutalniejszej formie. I to nas oskarżają, że chcemy wspólności kobiet! Gdybyśmy jej chcieli, to nie wypowiadalibyśmy wojny dzisiejszemu społeczeństwu. — Powiedziałem poprzednio, że prostytutcja jest najwstrętniejszym sobowtórem małżeństwa burżuazyjnego. Przyjrzyjmy się małżeństwu w dzisiejszym ustroju społecznym. *Czyż małżeństwo nie stało się prostytutką dzięki kapitalowi?* Czy opiera się ono zazwyczaj na miłości na zobopólnej skłonności? Czy tu w samej rzeczy nie odgrywa roli majątek. Czyż małżeństwo nie jest *spekulacją, interesem*, zamiast być związkiem serc?

Czyż kobieta nie sprzedaje się także w małżeństwie? Czyż nie jest sprzedawaną, jak towar? Czy w wyższych klasach nie są właśnie wyszydzone małżeństwa z miłości. Czy nie obliczają dokładnie obie strony majątku? Czy nie uważa się za głupstwo małżeństwa z osobą „niższej sfery”? Czy nie uchodzi za „mądre” i „praktyczne”, że ubodzy rodzice przymuszają swoje córki do oddania ręki bogatemu przeżytemu rozpustni-

kowi? Gdyby jaki fabrykant oddał swoją córkę kochającemu ją i przez nią kochanemu robotnikowi, czyżby nie uchodził u ludzi swej stery za warjata? Natomiast, o ile ją przymusi, ażeby się oddała jakiemuś niekochanemu „z rozsądku” żeniącemu się burżujowi, czy nie może liczyć na ogólne uznanie? Czyż to nie jest prostytutka? Czyż kobieta nie jest przedmiotem handlu? I zauważmy, że to sprofanowanie małżeństwa, to sprostywanie miłości spotykamy nie tylko „na wyżynach” społeczeństwa, ale we wszystkich sferach społecznych, wszędzie gdzie panuje kult pieniądza.

Przypominam sobie obrazek w „Fliegende Blätter”. Dwaj chłopcy siedzą razem, syn jednego chce się żenić z córką drugiego. „Mój syn dostaje tyle a tyle ziemi, tyle a tyle wołów, krów, koni. Ile dostanie twoja córka?” — „Mogę jej dać tylko tyle a tyle”. „To jest za mało, musisz dołożyć parę wołów i parę krów”. „Nie mogę”. „Tak więc nic z interesu”. Jest to obrazek z życia i żaden Juwenal nie mógłby napisać bardziej gryzącej satyry. Jesteśmy dumni z naszej kultury i zdaje nam się, że stoimy o wiele wyżej od dzikich, a jednak i u nas sprzedaje się i kupuje się dziewczęta za woły i krowy, zupełnie jak u kafrów w południowej Afryce! I dlaczego by nie? Społeczeństwo nasze opiera się na poniżeniu człowieka, z którego zrobiło towar i jeśli kobieta musi sprzedawać swe ciało, jest to tylko częścią tego ustroju, który zmusza robotnika, aby sprzedawał swoją pracę, a więc część siebie samego, ciało i duszę. Naturalnie jest tu pewna różnica: to, dla czego sprzedaje się płatny najemnik, jest konieczną czynnością społeczną i tylko warunki, w których ona się spełnia, czynią ją kłopotliwą robotników, gdy tymczasem sprzedawanie się prostytutki jest haniebnym świętokradztwem, obrzydzeniem miłości, a tym samym i natury ludzkiej. Miłość oddaje się, ale nie sprzedaje. Sprzedajność czy w mał-

żeństwie, czy bez małżeństwa jest prostytutką. Każde małżeństwo, skojarzone przez pieniądź, chociaż błogosławione przez księdza, jest prostytutką. Każdy związek mężczyzny z kobietą, który złączyła miłość, choć bez błogosławieństwa księdza, jest prawdziwym małżeństwem.

W innej jeszcze formie dzisiejsze społeczeństwo czyni kobietę towarem. Czyż kapitał, którego żarłoczność wzrasta, nie nasycy się pochłoniętymi ofiarami, nie nałożył kajdan pracy najemnej zarówno *kobiecie*, jak i mężczyźnie, nie zapędził jej do więzień, nazwanych fabrykami? I czyż system fabryczny nie zniszczył „*rodziny*” pracującego ludu. To jeszcze nie wszystko. Nawet dzieci składa nienasycony kapitał na ołtarz swoich ludożerczych bożków. Mąż, żona, dzieci—wszystko to najemni niewolnicy! Gdzież domowe „*ogniska*”, bez którego niemożliwym jest życie rodzinne? A pomimo to, kapitał, bijąc się pobożnie w piersi, prosi Boga, ażeby go chronił przed złymi socjaldemokratami, którzy chcą zniszczyć rodzinę! O, wy obłudnicy, robotnik niema rodziny; — wyście mu ją odebrali! I ponieważ *chce* mieć rodzinę, ażeby móc być człowiekiem, dlatego jest socjaldemokrata!

Praca jest podstawą wszelkiego ludzkiego postępu, przez pracę tylko udało się ludzkości wynieść się ponad zwierzęta, uwolnić się z niewoli przyrody. Ale środek wyzwolenia stał się środkiem ucisku. Zamiast stać się wolnym przez pracę, stał się robotnik niewolnikiem pracy. Z tego jarzma pracy musi robotnik być wyzwolonym. Nie ma on być żyjącą *maszyną*, która z człowieka stała się rzeczą, zwykłym dodatkiem do martwej maszyny, — który się nazywa tkaczem, cieślą lub konstruktorem maszyn, niechaj będzie on człowiekiem, który tka i który robi ciesielkę, który buduje maszyny, ażeby spełniać obowiązki społeczne. Robotnik, 12, 14, 16 godzin dziennie przepędza w fabryce,

w warsztacie, a często jeszcze długą ma drogę do domu i za dnia *nie ma czasu na to, aby być człowiekiem*. Wraca śmiertelnie znużony do domu, kładzie się spać i śpieszy nazajutrz znowu do pracy, jeszcze zmęczony pracą dnia poprzedniego. Nie jest to ludzkie życie, zaledwie zwierzęce. Żaden włościanin nie będzie w ten sposób wyczerpywał swoich koni i bydła. Lecz człowiek jest cierpliwszy i na szczęście wytrwalszy. Otóż właśnie przez zniszczenie rodziny, przez poniżenie kobiety, więcej niż przez inne przestępstwa, odebrało sobie społeczeństwo dzisiejsze moralne prawo dalszego bytu, samo na siebie wyrok śmierci wydało. Społeczeństwo, które prostytutkę urzędownie uczyniło instytucją społeczną, nie ma prawa wypowiadać słowa „moralność” bez zarumienienia się; społeczeństwo to jest osądzonem i zgładzi je bunt ludzkiego poczucia moralności, które żyje w piersiach wszystkich uciśnionych. — Kobieta obdarzona delikatniejszymi nerwami, wyposażona subtelniejszymi uczuciami, aniżeli mężczyzna, głębiej czuje swoje poniżenie. Dlatego kobiety z takim zapalem przyjmują udział w ruchu socjalistycznym, który im obiecuje swobodę i godność. Dlatego to kobiety takie wybitne stanowisko zajmowały w bohaterskiej walce Komuny. Młode matki z niemowlętami u piersi nie lękały się kul karabinowych i dodawały odwagi mężczyznom; dziewczęta porwały sztandar, wypadający z ręki umierającego mężczyzny w bluzie robotniczej, i wznosiły go z pogardą śmierci przeciw wrogowi, dopóki z piersią, przebitą kulami pijanych żołdaków, nie padały bez życia. Setki uwięzionych kobiet i dziewcząt przyjmowały dumne i nieugięte śmiertelny postrzał, wołając: niech żyje Komuna! i konając, rzucały pełne pogardy spojrzenia na zwycięsców. „Nikczemne podpalaczki”, „ prostytutki”, wyrzutki, które tylko wstręt wzbudzać mogą!” wyła chórem reakcyjno-burżuazyjna prasa. „Nikczemne podpalaczki”? Nikczemne barżua-

zyjne kłamstwo! Podła bajka, wymyślona przez łotrów, przyjęta przez głupców—dziś już przez świadectwa uczciwych przeciwników obalona potwarz! Prostytutki? Bezwątpienia była tam i niewielka część „prostytutek”! Ale czyż to Komuna uczyniła je takimi? Nie, to wy, panowie burżua,^{*)} to *wasze* społeczeństwo, wasz „najlepszy ze światów”, który napiętnował je piętnem hańby, zhańbił je. Komuna, przeciwnie, dawała im sposobność podniesienia się z błota, oczyszczenia się z brudu *waszego* społeczeństwa. I was to dziwi, że gorący zapal dla Komuny, a wściekła piekielna nienawiść do starego społeczeństwa, *do społeczeństwa prostytucji* rzucały je w wir walki i że one, napół anioły, na pół furje, chciały mścić się krzywd doznanych i życie hańby odkupić śmiercią dla świętej sprawy? Otóż „ta wieczna kobiecość”, w tych odepchniętych, zhańbionych wybuchnęła nienawiścią i wynierzyła policzek waszemu społeczeństwu. Wy nazywacie się chrześcijanami — czyście zapomnieli, jak zawstydził Chrystus obłudnych świętoszków, którzy chcieli ukamienować wiarołomną żonę? A wy śmiecie jeszcze po śmierci lżyć te ofiary waszego społeczeństwa, te męczennice nowej nauki, która niewolnikom wskazuje koniec ich niewoli, a kobiecie koniec prostytucji?

Wy, moi przyjaciele, zrozumieliście napewno, że kwestja kobieca jest nieodłączną od całej ogólnej kwestji socjalnej, i że wciągnięcie do naszego ruchu kobiet jest dla nas rzeczą wielkiej doniosłości: *związek zawodowy robotników fabrycznych i rękodzielników*, który tu w Crimtschau ma swoje siedliska nie robi różnicy między robotnicą i robotnikiem i więcej zrobił dla wyzwolenia kobiety tym faktycznym uznaniem równouprawnienia obydwu płci, niż wszystkie nasze kobiece

^{*)} Na zebraniu było obecnych także wielu przeciwników.

stowarzyszenia razem wzięte, którym się zdaje, że wzięły sobie w dzierżawę „kwestję kobiecą”.

Kobieta jest koniecznym dopełnieniem mężczyzny,—bez kobiety mężczyzna nie może być człowiekiem, bez współudziału kobiety nie może ziścić żadnego ludzkiego ideału. Dla tego to potrzebny nam jest współudział kobiet w naszym ruchu. A poczucie obowiązku i interes każe im stać przy nas w walce. Te kobiety, które najwięcej odczuwają nędzę dzisiejszego społeczeństwa, najwięcej też odczuwać będą korzyści wyzwolenia socjalnego. Niechaj więc każda kobieta, każda dziewczyna, zamiast odciągać od walki męża czy narzeczonego, dodaje mu zapału, podnosi jego ducha w chwili zniechęcenia; a każda matka wpaja swoim dzieciom ewangeliję swobody i równości, aby wzrastało pokolenie, które w dumnym poczuciu swojej ludzkiej godności nie będzie chciało, aby byli jeszcze panowie i słudzy.

Przyjaciele i przyjaciółki! Mam jeszcze jeden zarzut do zbicia i ta część mojego wykładu skończy się. Powiadają, że chcemy obalić burżuazję, aby na jej gruzach wzniesić *panowanie klasy robotniczej*. Program nasz obala to oskarżenie. Prawdą jest, że chcemy złamać panowanie burżuazji, ale dla tego, że chcemy złamać *wszelkie* panowanie klasowe. Burżuazja sądzi nas podług siebie: ona usunęła państwo feudalne tylko po to, aby na jego miejsce postawić państwo burżuazyjne. Usunęła jedno panowanie klasowe dla drugiego. Proletariat ma wyższe cele. Za bardzo cierpiał on pod panowaniem klasowym, by mógł zasadniczo nie być wrogiem panowania klasowego. I *jakaż* klasę chciałby opanować? Wszak on jest „*najniższą klasą*”, niema więc żadnej klasy, nad którą mógłby panować i wyzyskiwać ją. To, do czego dążymy, jest to organizacja zrzeszenia się społecznego, równość praw i obowiązków. Tak jak solidarność rozsadziła

granice rodowe i narodowe (te ostatnie przynajmniej duchowo i ekonomicznie, chociaż jeszcze nie politycznie) tak samo musi znieść granice klasowe i stanowe, aby pojęcie ludzkości mogło się swobodnie rozwinąć. Precz z wyzyskiwaczami i wyzyskiwanymi! Precz z panami i sługami! precz z panowaniem niewoli! Niech będzie porządek w równości, zamiast nieładu w poddaństwie! Oto, czego chcemy. I jakież uczciwy człowiek może to uważać za niesłuszne?

Przejrzałem po kolei wszystkie główne zarzuty, które przeciw nam wytaczają i wykazałem ich nicość. Pokazałem, że te oszczerstwa są tylko karykaturą burżuazyjnego społeczeństwa, które pod wpływem wyrzutów sumienia, we mgle rozgorączkowanej wyobraźni dostrzega swój własny brzydki wizerunek. Pokazałem, że to, co przedstawiciele i chwalcy starego społeczeństwa zarzucają nam, te występki, te ułomności są występkami starego społeczeństwa. Pokazałem że ten „podział dóbr”, że owa „wspólność kobiet” są systematycznie praktykowane w starym społeczeństwie. Pokazałem, że to właśnie stare społeczeństwo depcze nogami własność, niszczy rodzinę, odbiera ludowi dobrodziejstwa cywilizacji, zagraża kulturze, nadużywa jej. Wykazałem, że my socjaldemokraci walczymy przeciw burżuazji o poszanowanie własności, rodziny, cywilizacji, walczymy też przeciw „podziałowi” i „wspólności kobiet”. Wskazałem, że to *my* właśnie chcemy w ten świat niezgody i nieporządku — wprowadzić ład i harmonję, krótko mówiąc, pokazałem, że wszystkie zarzuty naszych przeciwników, możemy odwrócić przeciwko nim samym: nie *przeciw* własności walczymy, lecz *za* nią; *stoismy* w tej walce, nie *przeciw* rodzinie, a *jesteśmy za* rodziną; nie *przeciw* kulturze, lecz *za* kulturą; nie *przeciw* porządkowi, lecz *za* porządkiem; nie *przeciw* harmonji, lecz *za* harmonją.

Wykazałem, że ruch robotniczy jest ruchem kul

turalnym który pochodzenie swoje zawdzięcza nie kaprysowi, nie samowoli, nie przypadkowi, tylko powstał jako konieczność naturalna i z taką koniecznością musi się spełnić! Wykazałem, że tylko bezmyślność i nieuctwo mogą wątpić o słuszności ruchu socjaldemokratycznego i że każda próba stawiania ruchowi temu zapory jest równie beznadziejna i szalona, jak usiłowania byka wstrzymania pędzącej lokomotywy i tak jak lokomotywa, druzgocząc, przejdzie po nim, tak przejdzie po przez wszystkie przeszkody ruch robotniczy.

To powinni przeciwnicy nasi zrozumieć, wiedzieć powinni, że w *ich interesie* leży unikanie katastrofy. Świat dzisiejszy nie może się uspokoić. Interesy są sobie przeciwne, a walka klasowa i wojna są nieuniknionymi następstwami. Czy stan taki zasługuje na to, ażeby się biedzić nad jego utrzymaniem przy życiu? Przeciwników naszych podzielić można na dwie kategorie: tych, którzy walczą z nami z *nieświadomości* i tych, którzy to robią *ze złej woli*. Do pierwszych zwracam się z napomnieniem: poznajcie nasz ruch, a przestaniecie się nas obawiać. Strach jest złym doradcą. Czerwone widmo, które was przeraża, jest, jak wszystkie widma, wytworem ciemnoty i zniknie pod badawczym spojrzeniem rozumu. Poznanie stosunków ekonomicznych usunie nie tylko strach, usunie też i fanatyzm. Nauka nie zna fanatyzmu. Nauka nie odwołuje się do namiętności, nie denuncjuje, lecz *bada*. Wie ona, że wszystkie objawy mają swoje dostateczne przyczyny; stara się zbadać te przyczyny, ale nie walczy z objawami. Pokażcie mi jakiś poprzedni ruch kulturalny, który udałoby się stłumić, któryby w końcu nie zwałczył swoich przeciwników. Po co próbować przeciwko nam tego. Czyż obecne pokolenie nie nauczyło się jeszcze tego z historii? Czyż całe dawno już nabyte doświadczenie musimy znów zdobywać własnym kosztem?

Byłoby to zaparciem się wszelkiej wiedzy, wszelkiego ludzkiego postępu.

I wy, którzy nas zwalczacie ze złej woli, wy, *którzy wiecie, że mamy słuszość* i tylko z samolubstwa występujecie przeciwko nam — zastanówcie się. Pamiętajcie, że bardzo krótkowzrocznym jest egoizm, który wami powoduje. Dzisiejsze społeczeństwo daje wam wielkie korzyści, ale żadna siła w świecie nie pomoże wam do utrzymania się na waszych uprzywilejowanych stanowiskach. Wasze królestwo chyli się do upadku. Musicie upaść; gdybyście rozumieli waszą sprawę, usiłowałibyście upadek złagodzić. Czytaliście historję ksiąg sybilijskich; im dłużej się wahacie stać się sprawiedliwymi — sprawiedliwymi z *potrzeby*, tym bardziej pogarszacie swoje położenie, w tym gorszych warunkach dopełni się wasze poddanie się nowemu światu. Zwalczanie nas pociąga tylko za sobą przedłużenie bólów porodu, a może — przyspieszenie go. W każdym razie, tylko waszą jest stratą, jeżeli następującemu kryzysowi przez gwałtowne usiłowania przeszkadzacie, narzucacie gwałtowny charakter.

Unikanie katastrofy leży w interesie wszystkich, zarówno w waszym jak i w naszym. W interesie *wszystkich* leży by wybudować most, któryby przeprowadził ze starego do nowego świata. Pewien angielski mąż stanu powiedział, że historia partji jest historją kompromisów. Jest to do pewnego punktu zupełnie słusznym! Szkoda tylko, że u steru rządu stojące partje wtenczas tylko skłonne są do kompromisów, kiedy już wszystkie środki oporu są wyczerpane i kiedy są już tak słabe, że kompromis osłania zupełne bankructwo. Jeżeli panująca partja ma rozum i bystrość wzroku, wejdzie w kompromis z każdym prącem na nią ruchem ludowym. Proszę źle nie rozumieć tego słowa.

Takim kompromisem nazywamy stworzenie okresu przejściowego przez usunięcie różnych partji, zamiast

gwałtownego zerwania z przeszłością. Tylko przez szereg kompromisów, a więc przez *reformy*, można ruchowi socjalnemu zapewnić spokojny przebieg i przejście od starego do nowego świata z możliwym poszanowaniem interesów obecnie panujących klas.

Kompromis jest więcej w interesie klas panujących, aniżeli w naszym, gdyż my i bez kompromisu osiągniemy nasz cel, prawdopodobnie nawet wcześniej. To, co by nam kompromis pożądanym czyniło, są to względy humanitarności (ludzkości), gdy tymczasem przeciwnikom naszym nakazuje go własny ich interes. Czy życzymy sobie kompromisu, czy nie, jest to rzecz obojętna, zależy to w zupełności od naszych przeciwników. Jeżeli burżuazja będzie chciała kompromisu, to będzie kompromis bez względu na to, czy chcemy, czy nie. Burżuazja rozporządza bezpośrednio lub też przez rząd wojskiem, kapitałem i prasą, jednym słowem, wszystkimi materialnymi i duchowymi środkami; następnie posiada ona *władzę*, aby do rozwiązania kwestji socjalnej na drodze kompromisów i reform utorować drogę. Potrzebuje tylko chcieć, lecz ażeby chcieć, musiałaby poprzednio zrozumieć, że dzisiejsze warunki polegają na bezprawiu i utrzymać się nie mogą. Do uczciwych przeciwników wołam zatem raz jeszcze: *Badaście kwestję socjalną! Zrozumieć kwestję socjalną — znaczy rozwiązać ją.* Niezrozumiana wywołać musi najstraszliwsze polityczne i społeczne wstrząśnienia. Kwestja socjalna jest sfinksem, który zabija ludzi, nieumiejących rozwiązać jego zagadki, a zabija samego siebie, skoro zagadka jest rozwiązana. Zagadką sfinksa był *człowiek*. Tym samym jest kwestja socjalna. Dopóki ta zagadka — *człowiek* — nie będzie rozwiązana, dopóty świat nie uspokoi się i sfinks kwestji socjalnej nie przestanie przerzucać go z jednego przerażenia w drugie i jednej krwawej łaźni w drugą.

Dwa światy stoją naprzeciw sobie: stary i no-

wy — obumierający świat dzisiejszego społeczeństwa i idealny świat przyszłości; głęboka i szeroka przepaść dzieli je. Dzisiejsze społeczeństwo gna i pędzi ku przepaści, strach je oślepił; podobne jest stadu bawołów, które, ażeby uniknąć pożaru stepu, zamknawszy oczy, w ślepym strachu lecą naprzód, nie bacząc na przepaść, która zieleje przed nimi; przeskoczyć jej niepodobna — jeszcze kilka kroków, a nacisk będzie za wielki, by możliwym był odwrót; ci, co na przedzie, pierwsi wpadają, a kiedy przepaść zapełni się trupami, wówczas ci, którzy ocaleli, będą mogli przebiec na drugą stronę, gdzie znajdują schronienie. — Czy przepaść między starym a nowym światem ma się zapełnić trupami? Pożar stepu, przed którym społeczeństwo dzisiejsze chce uciekać, jest tylko w jego wyobraźni i tylko sprawdzić się może przez jego *strach*. Czyż nie da się wybudować żaden most, po którym przejśćby można do nowego świata? *My* nie możemy tego uczynić. Nasi *przeciwnicy* mogą tego dokonać, a jeżeli to spełnią, będzie to wiekopomną zasługą wobec ludzkości.

Zbliżam się ku końcowi. To, co my czynić mamy, wyraźnie mamy wytknięte. Idziemy naprzód drogą obowiązku. Wyrzec się należy wstrzymywania lub zatrważania nas. W Paryżu pokazała Socjaldemokracja, że, jeżeli potrzeba, umie umrzeć za swe przekonanie. Pamiętając o dewizie: „Noblesse oblige”*) nie zapominajmy nigdy, że sprawa nasza jest sprawą całej ludzkości. Przeciwnicy niech rozstrzygają, czy cel nasz ma być osiągnięty pokojowo, czy też krwawą walką. Jakikolwiek wyrok wypadnie, przyjmujemy go. Jesteśmy wol-

*) Szlachectwo obowiązuje; szlachetna sprawa nakłada wysokie zobowiązania. Zdanie powyższe jest godłem pewnego szlacheckiego rodu we Francji.

ni od osobistej nienawiści. Nawet w nieprzyjacielu szanujemy człowieka. Podczas ostatniego powstania polacy na chorągwiach swoich umieścili napis: „*Za naszą wolność i waszą*”. Tak i my walczymy za nas i za naszych wrogów: bo przecież i ich dotyczy dzieło wyzwolenia, bo i im jest ono potrzebne.

Wam, przyjaciele moi, daję przestrogę: pracujcie spokojnie, nieprzerwanie w waszym stowarzyszeniu, nie słabnijcie w waszej działalności, rozszerzajcie nasze idee — jeżeliby kiedy opadło was zniechęcenie, wówczas krzepcie się przykładem szlachetnego Jacobego, który nigdy się nie zachwiał, choć się wszystko wokół niego chwiało i przypomnijcie sobie jego słowa: „Utworzenie najmniejszego bodaj stowarzyszenia robotniczego będzie dla przyszłego historyka kultury dziełem większej doniosłości, aniżeli dzień bitwy pod Sadową”.



D O P I S K I.

Chrześcijaństwo a socjalizm.

Chrześcijaństwo z góry już skazywało się na niezdolność stworzenia nowej lepszej formy społecznej, gdyż ziszczenie ideału sprawiedliwości przenosiło na „tamten świat” a „strudzonych i obciążonych” *rozbrajało*, wskazując niebo. Chrześcijaństwo jest też rzeźwiście rozbrojeniem: dla tego też Orygenes jest najszlachetniejszym z ojców kościoła. Socjalizm ma pole swojej działalności na ziemi i chce sobie zdobyć ziemię. Chrześcijaństwo *narzeka*, socjalizm *działa*; chrześcijaństwo widzi swój ideał w rozpiętym nakrzyżu, bez oporu broczącym w krwi „Zbawicielu”, socjalista szanuje tylko tego, kto gotów jest porwać się na wszystko w czynnej walce za swoje ludzkie prawa; chrześcijanin *cierpi*, socjalista *walczy*; chrześcijanin jest *pokorny*, socjalista *rewolucyjny*; chrześcijanin *więzi ducha i robi prawa natury grzechem*, socjalista *daje duchowi wolność, a przyrodzie władzę*; chrześcijaństwo nakazuje człowiekowi *unizać się*, socjalizm *podnosi człowieka*; chrześcijaństwo zniszczyło starożytną kulturę i pograżyło świat w ciemnocie na tysiąc lat; ciemności te rozświecały tylko płomienie stosów i pochodnie fanatycznych szaleńców religji. Powołaniem socjalizmu jest ratowanie kultury, zagrożonej przez klasowe państwo terażniejszości z jego gospodarką, policją, wojskiem, burżuazją i klechami. Jednym słowem: chrześcijaństwo jest szczęściem niewolników, zastojem, wiarą, *śmiercią*; socjalizm jest wolnością, walką, wiedzą, *życiem*! Chrześcijaństwo jest widmem *przeszłości*; socjalizm wymaga niem *teraźniejszości, spełnieniem przyszłości*.

Materjalizm. Z powodu mojej uwagi o materjalizmie (str. 9) chcę tu wskazać na następne wypowiedzenie się Darwina: Nie trudno dowieść, że ów rze-

czywiście niegodziwy „etyczny czyli moralny materializm” nie ma nic wspólnego z bronionym przez nas „materializmem naukowym czyli przyrodniczo-filozoficznym”. Przeciwnie wykluczają się one wzajemnie. Praktyczno materialistyczne tendencje, gwałtowna pogoń za materialnym szczęściem i bogactwem i wyrafinowanym użyciem i stąd wypływającym obyczajowym zwyrodnieniem, są najbardziej rozwinięte właśnie w tych kołach społecznych, które najbardziej starają się uwidocznic swoją nabożność i religijność, a które o prawach przyrody i jej istocie nic nie wiedzą, nie mogą sobie zatym wytworzyć o niej żadnych pojęć filozoficzno-materialistycznych. Odwrotnie, najmniej znajdujemy tego etycznego materializmu u materialistycznych filozofów”.

„Całkowity wytwór pracy” (str. 24). Ażebym zapobiec nieporozumieniom, wyraźnie tu nadmieniam, że żądanie całkowitego wytworu pracy, *nie może* oznaczać, że każdy poszczególny robotnik żądać może dla siebie całkowitego równoważnika swojej pracy bez jakiegokolwiek potrącenia. Nawet wówczas, gdyby to było możliwym, niemożliwym byłby postęp ekonomiczny, wzrastanie bogactwa narodowego (w prawdziwym znaczeniu), bogactwa społecznego. Ale jest to zupełnie niemożliwym. Ażebym każdemu robotnikowi oddawać całkowity w całym znaczeniu tego wyrazu „wytwór jego pracy”, należałoby przedewszystkiem oddzielić w zupełności pracę jednego osobnika od pracy drugiego, wytwory ich pracy najzupełniej wyosobnić. Ale to się nie da zrobić. Było to możliwe, najwyżej w czasach pierwotnych, w zaczątkach kultury, gdzie o społecznej pracy mowy być nie mogło i kiedy każdy sam sobie mógł wyrobić pierwotne narzędzie do swojej pierwotnej pracy. Jakże jest możliwym obecnie przy nowożytnej masowej produkcji dokładnie wymierzyć

udział w pracy każdego z osobna, to znaczy pracy wydatkowanej przez każdą jednostkę? Jakież zawiłłane rachunki należałoby prowadzić! I jak możnaby dowieść, jaką część pracy każdego poszczególnego robotnika wykonały *narzędzia* lub *maszyna* potrzebne do wykonania tej pracy? Przecież w tych narzędziach i w maszynach tkwi jeszcze praca niezliczonych *innych* ludzi, prócz tych, którzy je wykończyli. Wszak *warunki*, w których każda praca obecnie jest wykonywana, są produktem kultury wielu tysięcy lat, który znów jest produktem ludzkiej zbiorowej pracy, albo ściślej całokształtu pracy ludzkości, tak że z zupełną pewnością możemy powiedzieć, że w *wykonaniu pracy* każdego robotnika tkwi *praca poprzednich pokoleń robotników*.

To niepodobieństwo upewnienia się co do osobistego udziału w pracy każdej jednostki jest to, mówiąc mimochodem, najlepszy i najbardziej bijący *dowód, przeciwko własności osobistej*.

Ponieważ tylko *praca* wytworzyć może „własność”, a czysto osobista, indywidualna praca jest niemożliwą i dokładny wynik pracy indywidualnej jest nie do obliczenia, więc oczywiście tu *mowy być nie może* o uprawnieniu własności osobistej (z wyjątkiem osobistych wartości użytkowych).

Jeżeli chcemy mówić o „całkowitym wytworze pracy” może to być tylko, jeżeli z góry przypuszczamy społeczny charakter tej pracy. Robotnik pracuje jako *członek społeczeństwa*, co dopiero daje jego pracy właściwą wartość, jej zadziwiająco spotęgowaną produktywność w porównaniu z poprzedzającymi epokami kultury. Społeczeństwo zapewni robotnikowi ludzką egzystencję i *pewna część jego pracy przypaść musi na korzyść społeczeństwa*. A ponieważ społeczeństwo socjalistyczne uznaje tylko osobniki o równych prawach i równych obowiązkach, zatem to co przypada na dobro społeczeństwa przypada tym samym na rzecz każdego poszczególnego osobnika.

Udział w zyskach (str. 40) To co mówiłem o „udziale w zyskach”, może pod pewnym względem stosować się do *roboty na akord* (od sztuki), którą „*pracodawca*” gdzie to się da, stara się podsunąć na miejsce „*lonu*” (dniówki). Praca akordowa zmusza robotnika w jego własnym interesie, aby praca jego była możliwie *natężona*, a zatem w interesie *pracodawcy* możliwie *produkcyjna*. Ten system pracy przedstawia jeszcze inne korzyści dla kapitalisty, mianowicie: 1) zmusza robotników do konkurencji *między sobą*, co następnie pobudza ich do *wzajemnego zwalczania się* zamiast wspólnej walki z *pracodawcą*. 2) niektórzy robotnicy przez nadmierny wysiłek dla osiągnięcia *względnie* wysokiego zarobku przyczyniają się do *powszechnego* obniżania płacy. Angielscy robotnicy najwyraźniej ze wszystkich robotników przekonali się o tem i ich związki zawodowe walczą uparcie o system płacy *dziennej*.

Rewolucyjni robotnicy i własność (Str. 30 i nast.).

W ósmym tomie wielkiego źródłowego dzieła o rewolucji francuskiej (*Histoire Parlementaire*) przez Boucher i Roux znajdujemy (str. 150) następujący ustęp o drugiej połowie 1790 roku.

„Autorowie najlepszych dzieł o moralności społecznej należeli do klubu jakobinów, oni pisali bardzo wiele. Wszyscy oni uznawali zasadę zaparcia się siebie (*dévouement*) i braterstwa. Wiele broszur jak *Szkoła rolnicza* (*Ecole des laboureurs*) przez *Lequin* lub *Deklaracja praw człowieka* przez jakobina *Karola Morel*, miały wielkie powodzenie. *Pisarze demokratyczni: Carra, Loustalot, Robespierre, Marat* byli temi, którzy gorąco *przekonywali o konieczności moralnego postępowania*. — Nawet *Kamil Desmoulins*, który swego talentu, przeważnie satyrycznego używał na smaganie kontrrewolucjonistów, często chwycił samego siebie na uczuciach czysto spo-

łecznych. Przy końcu bardzo rozsądnych rozmyślań nad pojedyńkiem Barnavea (który przez ówczesnych demokratów, jak pojedynek wogóle, jaknajbardziej stanowczo był potępianym) mówi on: „Jakkolwiek ich sposób życia i zajądanie grochu *) niekoniecznie przypadają mi do smaku, to jednak lubiłem zawsze pytagorejczyków, gdyż umieli umierać jedni za drugich; podobnie ofiarnymi powinni być prawdziwi jakobini i wszyscy dobrzy patryjoci. Arystokracja jest egoistyczną, gdyż egoistyczny i arystokratyczny są to jednoznaczne wyrazy”.

W swoich „*Rewolucjach paryskich*” opowiada Kamil Desmoulin następujące charakterystyczne zajście, które miało miejsce 13 listopada 1790 r. „Utworzyli oni (arystokracja) bandę zbirów, która zgładzić miała ze świata, najzapaleńszych patryjotów Zgromadzenia Narodowego i najwymowniejszych obrońców ludu. „Panowie, (wyraz „obywatel” nie był wówczas jeszcze wprowadzony) Ch. Lameth, Menenon, Barnave, Robespierre, Roederer, Raband, Bernard zostali prawie jednocześnie wyzwani na pojedynek, każdy przez innego przeciwnika. Pan Ch. Lameth został zmuszony (?) do pojedyńku z panem de Castries i otrzymał ciężką ranę. Okoliczności, towarzyszące temu pojedyńkowi do tego stopnia rozjątrzyły lud, który już miał dość tych ciągłych napaści na swoich przedstawicieli, że powstał natychmiast, ażeby wyrzucić sprawiedliwą zemstę na pana de Castries. Tłum liczny pospieszył do jego pałacu w zamiarze zburzenia go do szczytu. „To nie jest jego własność”, powiedział sąsiad. Na te słowa lud zmienił zamiar; a ponieważ chciał ukarać tylko pana de Castries, wdarł się do pałacu, podarł i potłukł

*) Pytagorejczycy, z którymi porównywa tu Desmoulin Jakobinów, żywili się wyłącznie pokarmami roślinnymi.

wszystko, co tylko się tam znajdowało: meble, zwierciadła, pościel, srebro, pieniądze, papiery wartościowe — wszystko zniszczono, a szczątki wyrzucono oknem. Wśród wrzawy, jeden mówca ludowy powiedział: „*jesteśmy ludzie uczciwi, jesteśmy tu obrońcami naszych przyjaciół, pierwszy, który ośmieli się ukraść choćby gwóźdź ze ściany będzie powieszony!*” Ten energiczny wyrok ludu został przyjęty przez jednogłośnie „*Brawo! kto ma złe zamiary, będzie powieszony!*” Kiedy lud wyszedł z pałacu, każdy zdjął surdut, kamizelkę i wyrzucił kieszenie”. Tyle Kamil Desmoulin. Teraz wyobraźcie sobie przerażenie *naszych* „uczciwych ludzi” i „burżujów”, gdyby tak każdego z nich, który nie może z czystym sumieniem wyrzucić swoich kieszeni, wieszano! W całym przeciągu wielkiej rewolucji francuskiej, wszędzie spotykamy się z tą samą bezinteresownością ludu; z tem samem dążeniem urzeczywistnienia w czynie moralnego ideału. W najbardziej gorączkowych chwilach teroru występuje ten rys znamieuny. W rewolucji lipcowej tenże sam widok. O rewolucji lutowej wykazano statystycznie, że od dnia 28 lutego do powstania czerwcowego popełniono w Paryżu i we Francji daleko mniej przestępstw, zwłaszcza także przeciw własności, aniżeli kiedykolwiek poprzednio w takim okresie czasu. Podobne spostrzeżenia robiono w Niemczech po dniach marcowych. Podczas rzezi czerwcowej powstańcy strzelili prawie z religijną czcią życia i własności znajdujących się w ich mocy przeciwników; twierdzenie przeciwne zostało po starannych poszukiwaniach zdemaskowane jako nikczemne kłamstwo. Komuna miała przez przeciąg dwóch i pół miesiąca Paryż w swej nieograniczonej mocy, życie tysięcy wrogów, miliony i miljarady własności państwa i burżuazji były zestawione na łaskę i niełaskę proletarjatu: — nie zabito ani jednego wroga, prócz w otwartej walce; ani grosza prywatnego lub państwowej własności nie „zrabowano!” W Hi-

szpanji podczas ostatnich zaburzeń ludowych, można było robić to samo spostrzeżenie.

Gazeta „Volkstaat“ np. pisała w Nr. 79 (roku 1873) co następuje:

Z Hiszpanji: O Walencji czytamy w londyńskim „Echo“ następującą korespondencję z Madrytu dnia 11 sierpnia: „Muszę wobec innych doniesień zamieścić wyjaśnienie, że wiadomość, jakoby powstańcy rabowali jest najzupełniej bezpodstawną i przez dyrektora banku publicznie za pótwarz uznaną. Dalecy od zamiarów rabunku postawili powstańcy *wartowników przed-bankiem*, którzy dopiero wówczas zostali oddaleni, kiedy powstańcy musieli opuścić miasto.

Najdrobniejszy fakt plądrowania lub rabunku nie zdarzył się w przeciągu dni 15, podczas kiedy miasto było w rękach buntowników, chociaż w owym czasie pałace i mieszkania bogaczy były opuszczone wraz ze wszystkim co się w nich znajdowało i zdane na łaskę owych buntowników. Ja sam (korespondent Echa był przez cały ten czas w Walencji) widziałem przez trzy dni z rzędu zegarek z łańcuszkiem, lornetkę i kufer wystawione na placu targowym z kartką z napisem: „Nie wolno nikomu ruszyć tych przedmiotów, dopóki się nie zgłosi właściciel i nie zażąda zwrotu“. Oddział zgłodniałych żołnierzy z milicji ludowej przyszedł pewnego wieczoru do naszego hotelu, żądając jakiego posiłku, dodając przytym, że z powodu całodziennego zamknięcia sklepów, nie mieli od rana nic w ustach. Właściciel hotelu zdjęty strachem przyniósł chleba, kilka surowych cebul i nieco sałaty, tłumacząc, że to jest wszystko, co jeszcze posiada. Zapytano o cenę, a my szybko odpowiedzieliśmy za gospodarza, że się nie od nich nie należy; jedynym, naszym życzeniem było, pozbyć się jaknajprędzej nieproszonych gości. Oni oburzeni odpowiedzieli, że nie chcą darowizny i że woleli by zostawić wszystko, aniżeli jeść niezapłacone.

Dopiero po dłuższej namowie udało się ich skłonić do przyjęcia, ale pod warunkiem zaświadczenia w danym wypadku, że nie przyszli z zamiarem zdobycia sobie gwałtem posiłku i że przyjęli bez zapłaty tylko na nasze usilne prośby”.

Tak opowiada naoczny świadek, który nie był z „buntownikami” nawet w najdalszych stosunkach i ze swojego politycznego stanowiska był raczej nieprzyjaźnie niż przychylnie dla nich usposobiony. Jest to stara historia: wszędzie i po wszystkie czasy, kiedy lud na chwilę miał władzę w ręku, pierwszą jego troską było odrzucić wszelką łączność z tymi, którzy też walczą z istniejącym porządkiem rzeczy, jednak nie otwarcie, nie rewolucyjnie, ale cichaczem, tchórzliwie, drobną kradzieżą. Mieliśmy stokrotnie sposobność zauważenia tego w czasie wielkiej rewolucji francuskiej, widzieliśmy to w rewolucji lipcowej, w lutowej, w czasie niemieckich walk marcowych, w rzezi czerwcowej i podczas Komuny — a teraz znowu widzieliśmy to w Hiszpanji. Czy proletariusz doznaje jeszcze świętej trwogi wobec zasady własności burżuazyjnej, czy też uważa burżuazyjną „własność za kradzież” — na jedno wychodzi; uważałby za bezceństwo, za poniżenie siebie i swej sprawy, sięgnięcie w konkretnych wypadkach po własność burżuazji; nawet najbezwzględniejszy komunista nie chce, ażeby kradzież popełniona na ludzie roboczym kradzieżą była wynagrodzona; dążeniem jego jest obalić dzisiejsze społeczeństwo z jego systemem produkcji — ale kradzież pozostawia on, reżimieszkom tolerowanym czy nie tolerowanym przez policję i prawo, posługującym się kapitałem czy wytrychem, pozostawia im dopóty, dopóki nie zdoła uporać się z jednymi jak z drugimi. Reżimieszki natomiast nie rozumieją takiej powściągliwości i dla tego zmyślają wszelkie łotrostwa i niegodziwości na rachunek proletariatu, niegodziwości, któreby sami popełnili na jego miejscu.

(Str. 36). Kiedy mówiłem, że ostatnia wojna była wywołana *obawą socjalizmu*, to rozumiem przez to Bonapartego, którego strach burżuazji przed socjalizmem na tron wyniósł. Ze strachu przed socjalistycznymi robotnikami Napoleon III rzucił się w tę авантюризyczną politykę, która go doprowadziła do Sedanu. Gdyby francuzka burżuazja oślepiona trwogą przed czerwonym widmem, nie rzuciła się w objęcia smutnego bohatera z pod Strasburgu i Boulogne, oszczędzonym by nam było francuskie cesarstwo wraz z jego niemiecką podobizną.

Strach przed socjalizmem *opanował całą politykę obecną*. Już w roku 1848 ten strach spowodował upadek rewolucji mieszczańskiej. Rząd stracił głowę i moc w „szalonym roku” — nie wiele więcej trzeba było jak tylko zdjąć korony z głów tych, którzy je nosili. Ale — niespodzianie pojawił się na widowni dziejowej *proletariat* i ukazanie się jego napełniło strachem burżuazję, sparaliżowało jej energię i nie zdobyła się na „czyn odważny”. Nasi niemieccy mieszcianie sami przez się nie są tchórzliwsi niż angielscy mieszcianie w 17-stym, a francuscy w 18-stym stuleciu — lecz strach przed robotnikami siedzi im na karku i paraliżuje ich siłę; on to uczynił z dzisiejszego burżuja najtchórzliwszego, bez charakteru jegomościa, jaki kiedykolwiek występował na scenie historii świata.

(Str. 37) „Talenta są równomiernie rozsiane między ludźmi”. Nie dowodzi to, że wszyscy ludzie jednakowo są obdarzeni. Zdolności jednego człowieka nie są nigdy zupełnie równe zdolnościom drugiego człowieka. Ale suma zdolności bywa u różnych ludzi ta sama, a dzisiejsza nierówność wynika po części z dziedziczności, po części jest produktem warunków, w których żyją jednostki. Nierówność ta przez rozszerze-

nie kultury i ziszczeniu ideału równości socjalistycznej musi co raz bardziej zanikać — co nie wyklucza najswobodniejszego rozwoju indywidualności przeciwnie warunkuje go. *Im większą jest równość społeczna tem większą jest rozmaitość talentów i charakterów.*

Nic nie może być niedorzeczniejszem nad twierdzenie, że *równość i wolność* są to dwa sprzeczne ze sobą pojęcia. Przeciwnie one *dopełniają* się wzajemnie. Bez równości społecznej, niema wolności politycznej. Dopiero przez równość społeczną, która każdemu osobnikowi daje materialne warunki bytu, możliwym jest dla każdego człowieka swobodny rozwój jego sił, wolny wybór powołania. Dzisiejszy indywidualistyczny porządek, a raczej nieporządek społeczny, który interesom pojedynczych osobników podporządkowuje interesy ogółu, uniemożliwia niezliczonej większości ludzi rozwój indywidualności, miażdży i spłaszcza ich indywidualność, jakby pod żelazną prasą i powoduje „równość” w niewoli i zniszczenie indywidualności. — Tymczasem *równość ekonomiczna lub społeczna tworzy grunt, z którego i na którym jedynie tylko wolna indywidualność wyrosnąć może.*

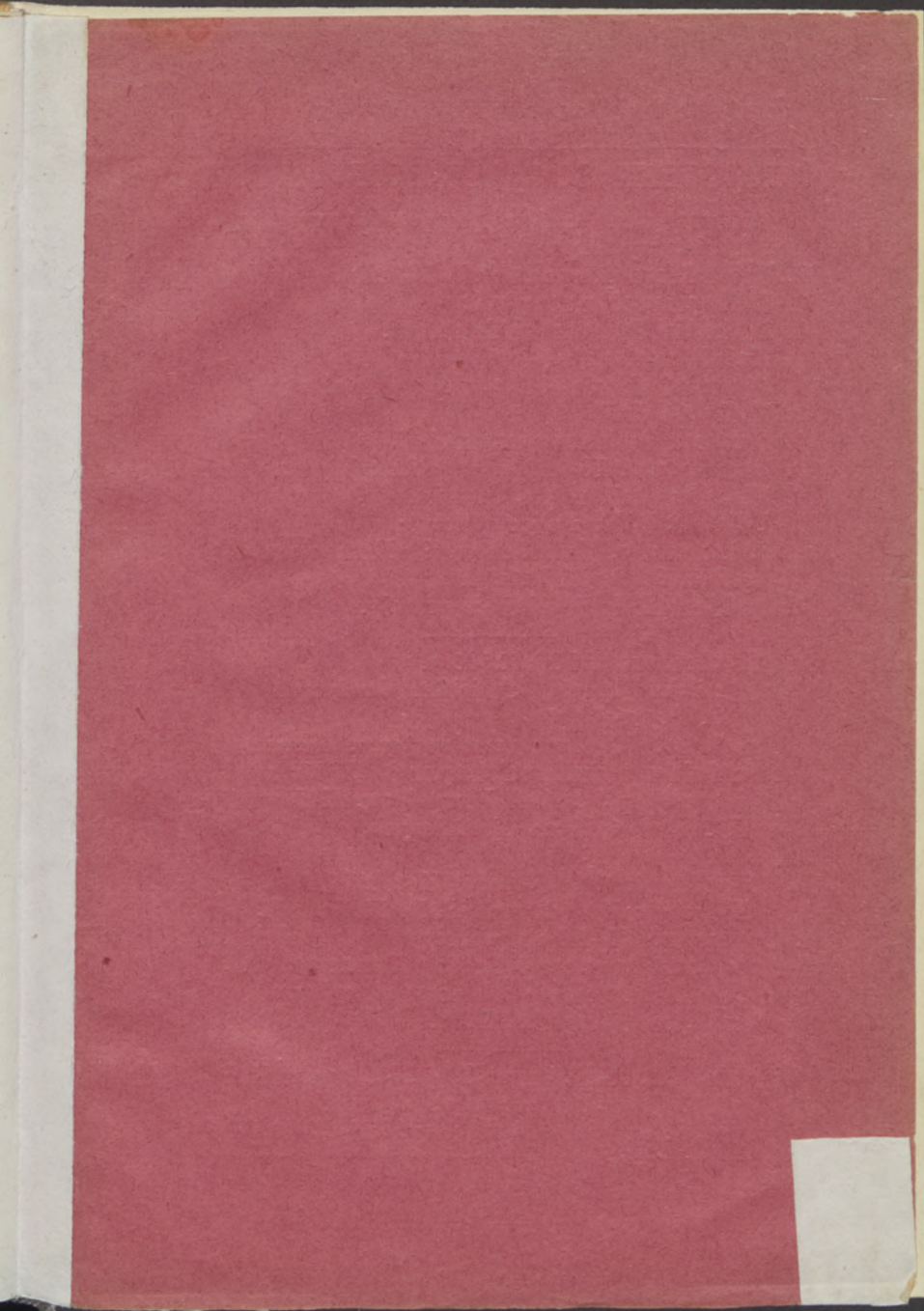


Biblioteka Główna UMK



300001557414

Cpn: Dieblmecht W.



BIBLIOTEKA SOCJALDEMOKRATYCZA.

1. R. Kruszyńska. Święto pierwszego maja, wydanie drugie (wyczerpane).
2. Maciej Różga. Niepodległa Polska a sprawa robotnicza
3. Ze wspomnień marcowych.
4. Z Wielkiej Francuskiej Rewolucji.
5. Pieśni proletariatu.
6. Szymon Dickstejn. Kto z czego żyje?
7. Muchy i pajaki.
8. „Precz z Socjaldemokratami! Wydanie drugie.
9. Józef Chmura. Kościół a Socjalizm. Wydanie trzecie.
10. Walka robotników pod caratém.
11. J. Karski. Jak i o co walczyć?
12. R. Luxemburg. Czego chcemy? Komentarz do programu S. D. K. P. i L.
13. W. Liebknecht. W obronie prawdy.

Święto robotnicze 1 Maja 1906 r.

War. Polska Partja Socjaldemokratyczna Galicji a P. P. S.

R. Luxemburg. Wybuch rewolucyjny w caracie.

Kwestja Polska a ruch socjalistyczny. Zbiór artykułów o kwestji polskiej R. Luxemburg, K. Kautskyego, F. Mehringa, Parvus'a i innych.

Pieśni pracy i walki.

Związki zawodowe. Wydanie Komisji Organizacyjnej Związków Zawodowych S.-D. K. P. i L.

R. Luxemburg. Z doby rewolucyjnej. Co dalej? Nr. 3.

Rzecz o konstytuancie i o Rządzie Tymczasowym.

J. Karski. Duma carska i bezprawie wyborcze.

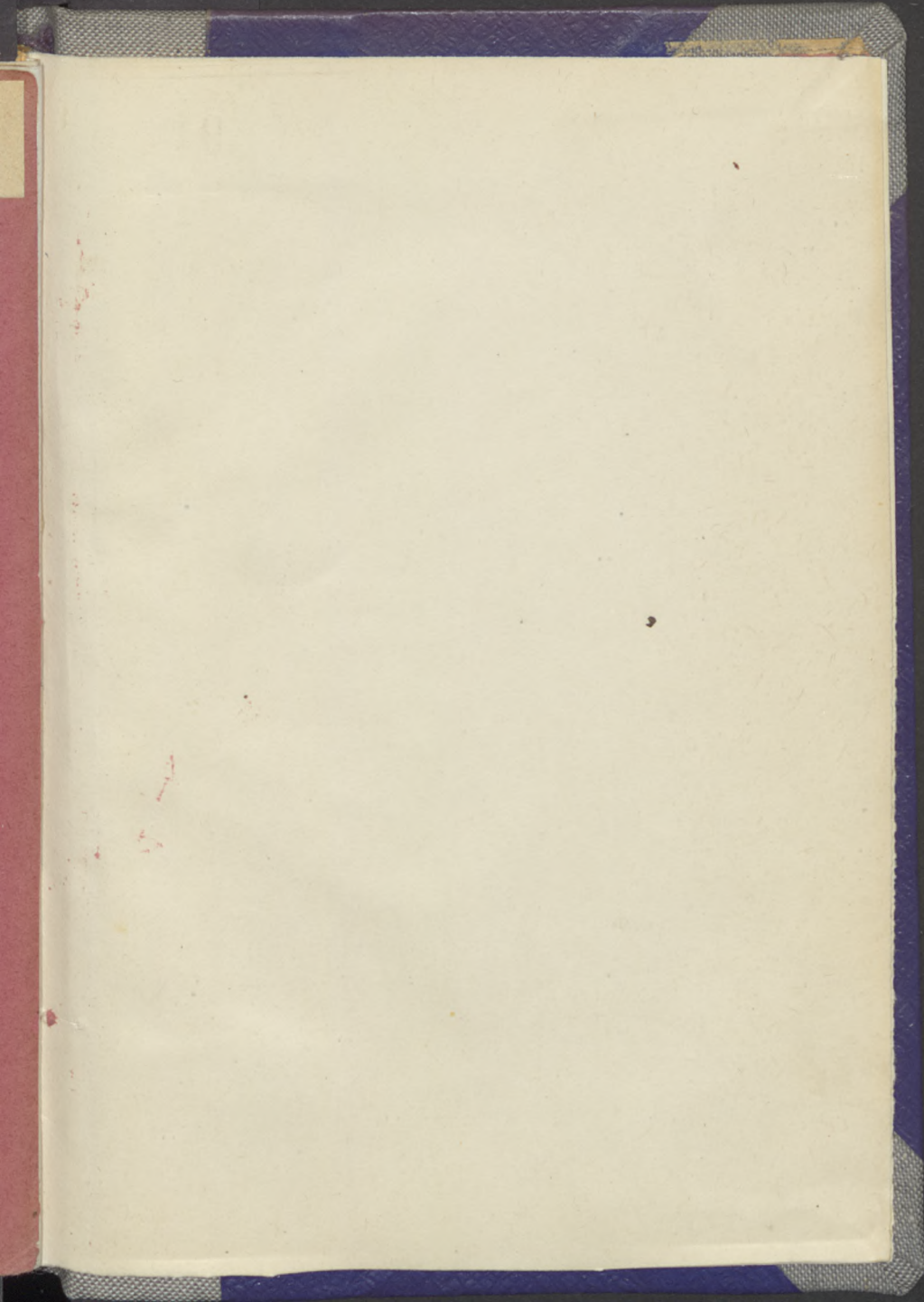
Program federacji czyli P. P. S. w błędnym kole.

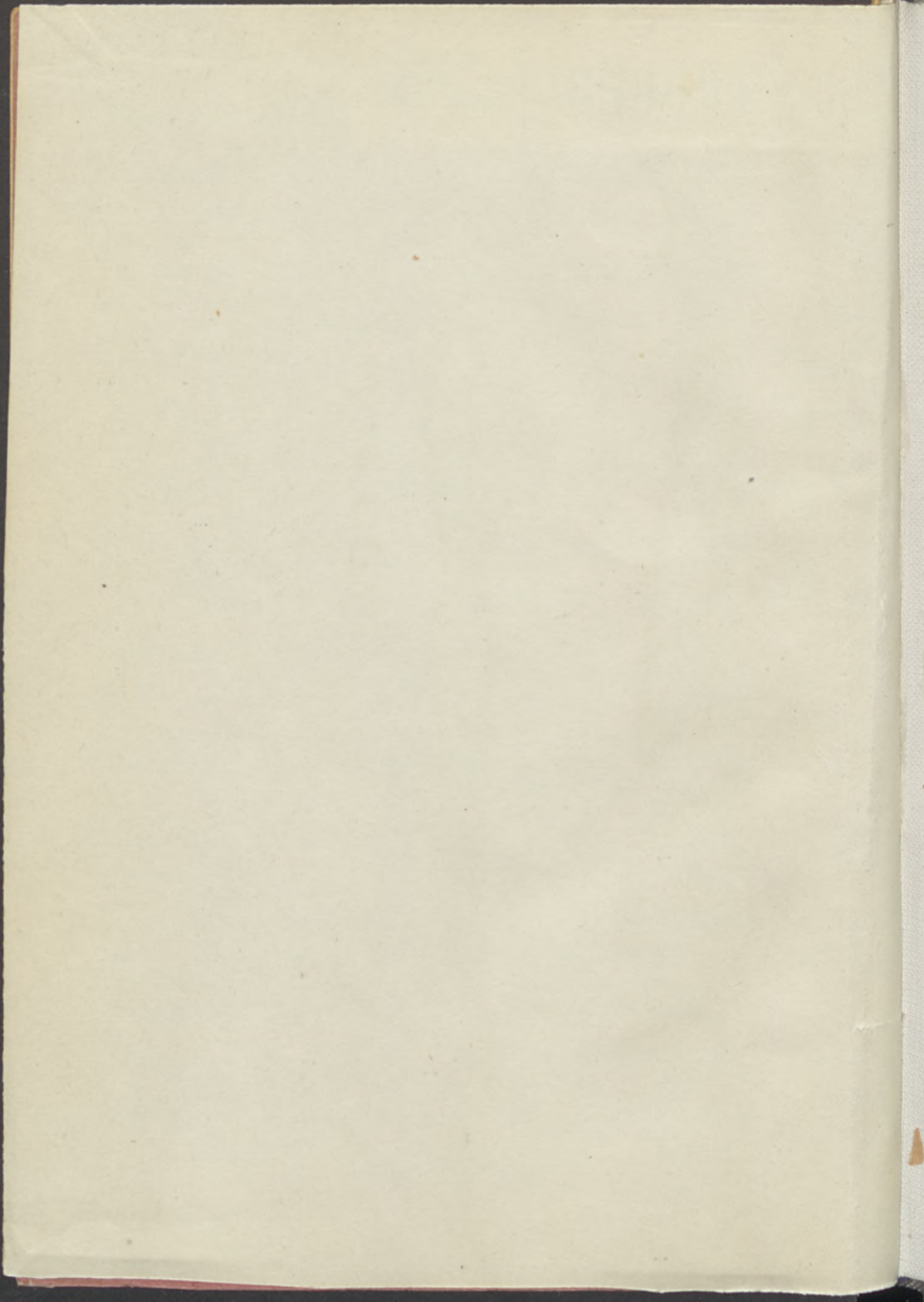
„Czerwony Sztandar”. Organ Socjaldemokracji K. P. i L.

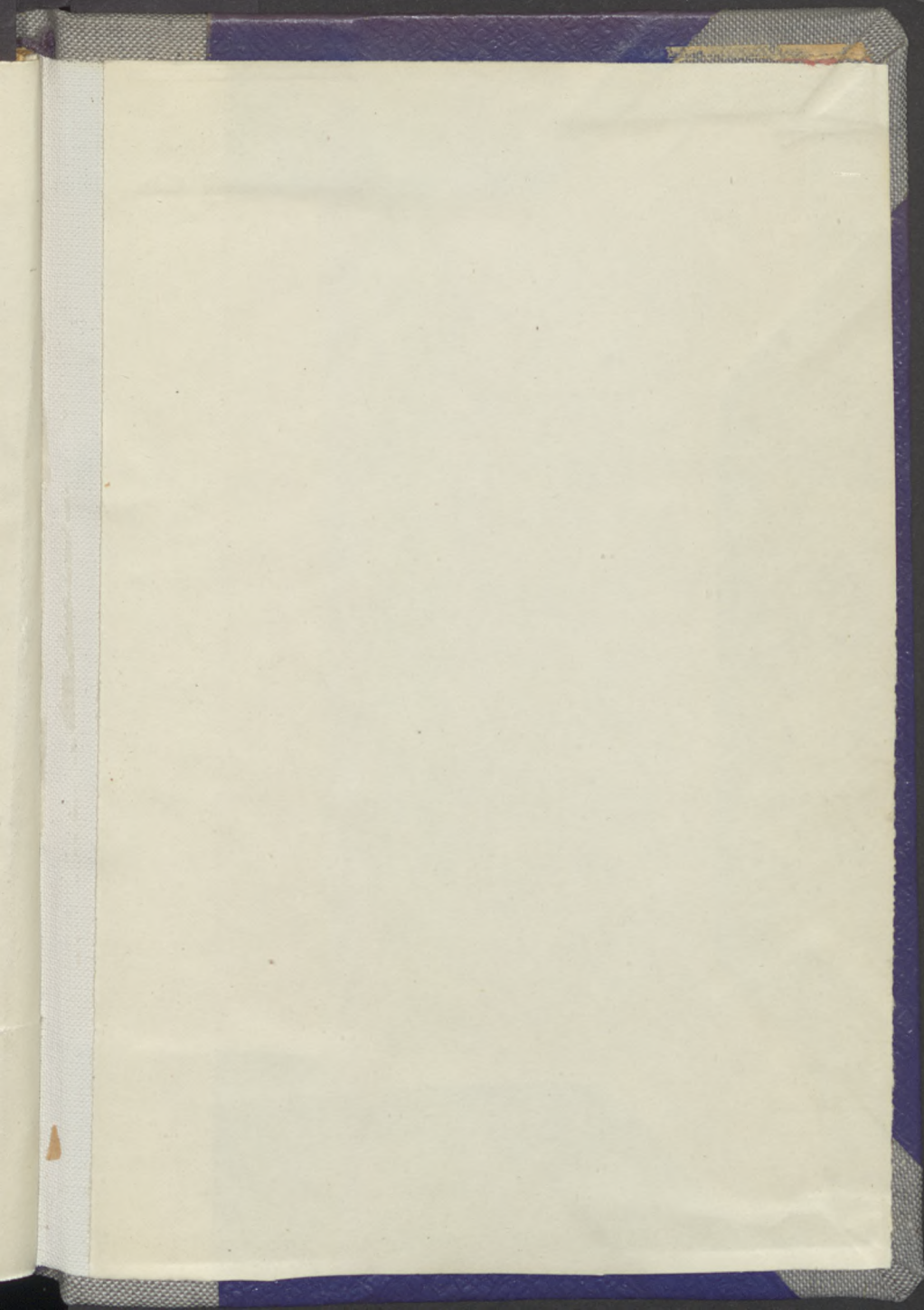
„Do walki”. Pismo propagandy i agitacji.

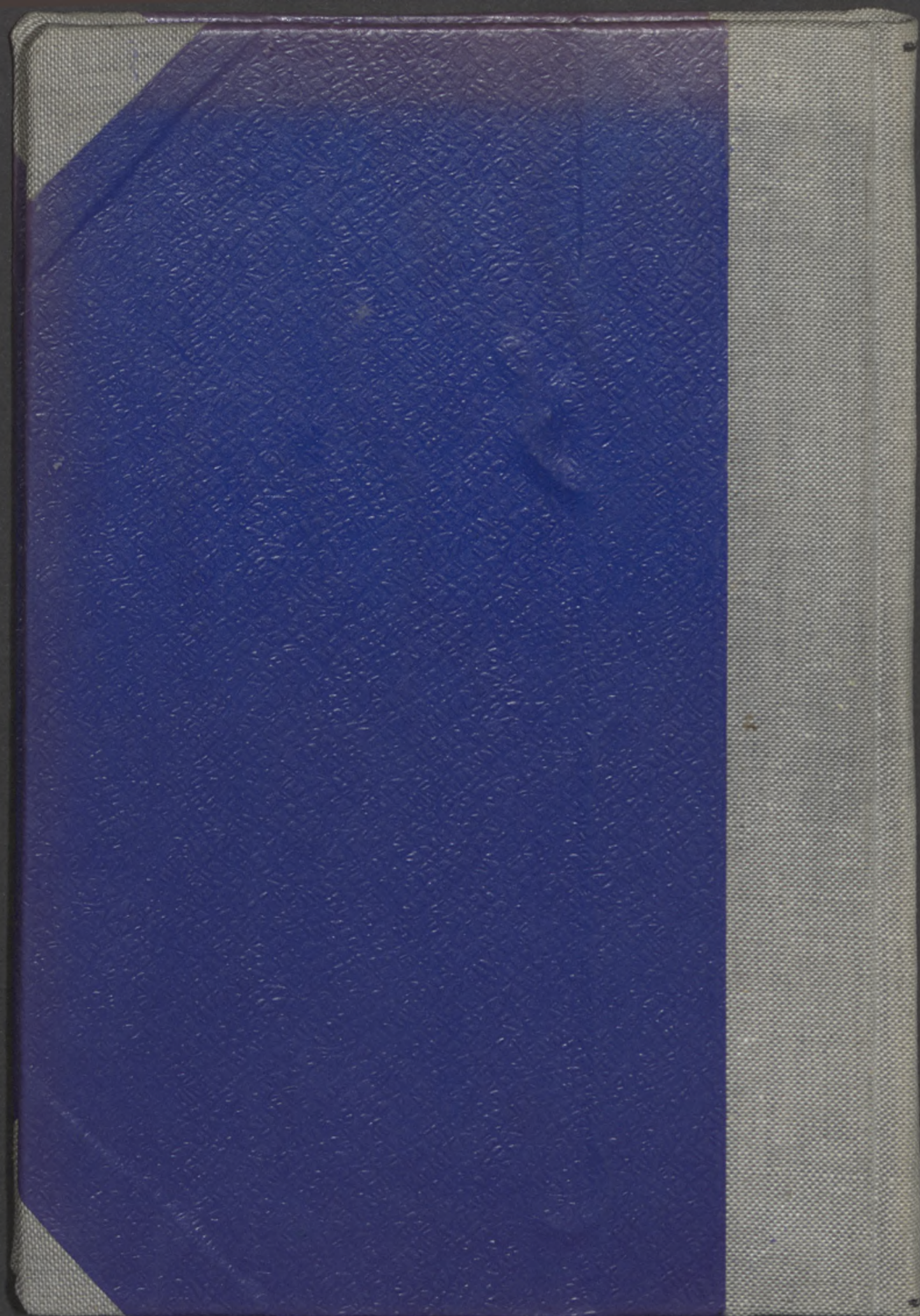
„Vorwaerts”. Organ niemiecki Socjaldemokracji K. P. i L.

Cena 10 kop.



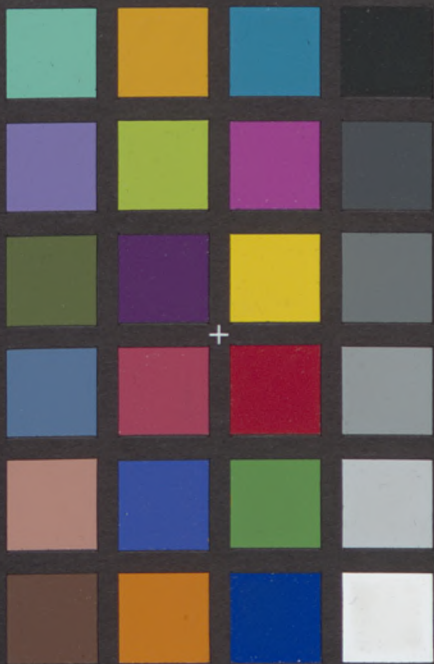






x-rite

colorchecker CLASSIC



mm